Nr. 9. Lwów, dnia 1. maja 1907. Rok XXX.

Wpisowe do Towarz. (jednarazowe) 4 korony.

Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ŁOWIEC

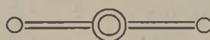
ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca".

Biuro gal. Towarzystwa łowieckiego: ulica Jagiellońska l. 3, II. piętro.

Wystawa gal. Towarzystwa łowieckiego.



Dnia 20. czerwca b. r. otwartą zostanie, urządzona w jednym z pawilonów na placu powystawowym, jako osobny dział **Wystawy przyrodniczo-lekarskiej**

WYSTAWA GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

i trwać będzie do 25. lipca b. r.

Wystawa ta obejmować będzie wieńce jelenie, łopaty łosie, różki sarnie, kły i łby odyńców, wypchane ssaki i ptaki łowne.

Myśliwi, chcący przysłać na wystawę swoje trofea raczą jak najrychlej, a najpóźniej do 20. maja b. r. zgłosić do Biura gal. Towarzystwa łowieckiego, z dokładnemi danemi, tyczącemi się ilości i jakości trofeów,

które przysłać mają, poczem Komitet wystawowy pośle im legitymacye, na mocy których przesyłki trofeów z powrotem z wystawy odbywać się będą bezpłatnie.

Koszt przesyłki i dostawienia trofeów na wystawę ponosić będą wystawcy. Stanowić będą pod tym względem wyjątek zawodowi leśnicy, którzy swoje trofea, o ile przedstawiają one wyjątkową wartość, mogą przesyłać na wystawę na koszt Towarzystwa.

Na nagrody tak poszczególnych okazów, jak i całych kolekcyi, przeznaczył Komitet wystawowy medale złote, srebrne i bronzowe.

Zwracamy się do ogółu naszych myśliwych z gorącą prośbą, by się chcieli tą, naszą wystawą szczerze zainteresować. Niech każdy przyśle co posiada, jak rogi jelenie i łosie, rożki sarnie, pięknie wypchane i rzadkie okazy zwierząt łownych, kły odyńców i t. d.

Niech ta wystawa chlubnie zaświadczy o wysokim poziomie łowiectwa naszego i niech będzie poważnym i interesującym działem wielkiej wystawy X. Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich.

O najżywszy współudział jak najusilniej prosimy!

Juliusz hr. Bielski

Prezes Komitetu Wystawy gal. Tow. łow.

ALEKSANDER PRZEDRZYMIRSKI.

Wspomnienia ze Smorza.

(Dokończenie.)

Istnieje mnóstwo specyalnych znaków, służących do odróżnienia tropu jelenia od łani i do oznaczenia z tropu wieku (stopnia) jelenia. Dawna niemiecka szkoła posiadała takich znaków siedmdziesiąt kilka, które oprócz innych jeszcze sekretów i arkanów umieć i znać musiał adept łowiecki, zanim przyznano mu zaszczytny przymiotnik „hirschgerecht“. Nowsza zadowala się 27-miu takimi znakami; dla nas wystarczą podane poniżej cztery znamiona, które przy jakiej takiej uwadze, każdy myśliwy polujący w jelenim rewirze zauważyć i przyswoić sobie może — więc:

1. „Spóźnianie“ (Zurückbleiben) powstaje u grubych starych byków, które już nie wstawiają tylnego badyla dokładnie w trop przedniego, lecz przednią połową tylnej racicy, nakrywają tylko tylną połowę odcisku badyla przedniego.

2. „Przeganianie“ (Übereilen). Oznaka młodych jeleni, które całym odciskiem badyla tylnego nakrywają przednią połowę odcisku przedniego badyla.

3. „Trop krzyżowy“ (Kreuztritt) zdradza nam stare byki. Trop ten powstaje, gdy ślad tylnego badyla „spóźniając się“ odciska się obok tropu badyla przedniego, ale tak, że nakrywa mniej więcej $^1/_4$ zewnętrzną część jego.

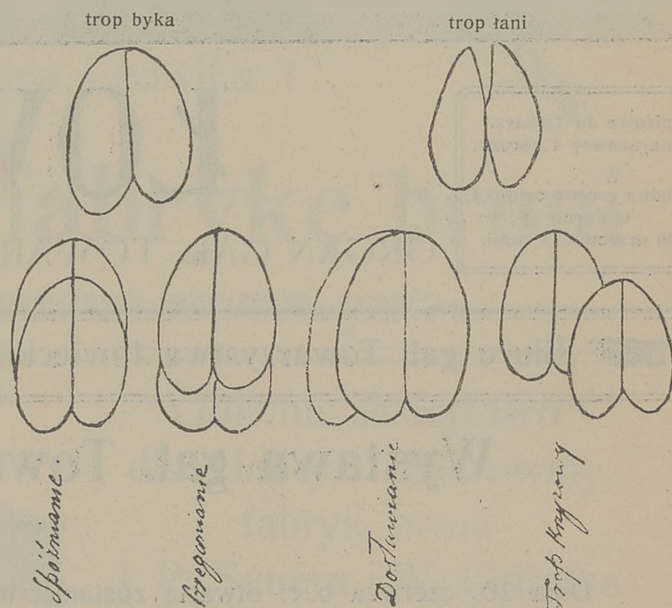
4. „Dostawianie“ (Beitritt). Podobny do poprzedniego z tą różnicą, że odciskiem badyla tylnego nakryte są $^2/_3$ zewnętrzne części badyla przedniego. Oznaka jelenia już łownego.

Lepiej niż słowa objaśnią czytelnika poniższe rysunki.

Jakiej broni używać na jelenie?

Odpowiedziałbym każdej, która wyrzuca pocisk, z odpowiednią chyżością początkową, zdolną zwyciężyć opór potężnych mięśni i kości jelenia.

Broni takiej mamy dużo odmian do dyspozycyi. Więc expressy, jednakowoż nie poniżej kalibru 400 i nie poniżej $4^1/_2$ gr. prochu dymnego. Przy zastosowaniu expresów, używać należy kuli pełnej bez expanzy, ze ściętym, płaskim końcem. Kula taka posiada dostateczną zdolność przebijania, deformuje się odpowiednio i daje dużo farby i turzycy. Na bliskie odległości do 120 kroków expressy są bronią doskonałą do grubego zwierza. Expanza w ołowianej kuli expresowej jest już dziś przeżytkiem, który nie tylko nic nie pomaga, ale nawet ujemnie wpływa na celność i zabójczość expresowego pocisku.



W obec smutnych doświadczeń, poczynionych w tym kierunku, dziwnem jest doprawdy, że dotąd jeszcze kula expanzywna znajduje zastosowanie. Używają jej wszyscy ci, którzy nie mieli odwagi używać kuli pełnej i którzy prowadzą krucyatę przeciw tej ostatniej, nie znając jej właściwości.

Niemałym szkopułem expresów jest dym wywiązujący się w chwili strzału i uniemożliwiający obserwacyę, czy i jak zwierz strzał zaznaczył. Moździerzowy huk i często

silne trącenie, są również niemiłemi właściwościami ekspresów.

Idealną bronią na podjeździe, lub podchodnem na jelenie, są wszystkie małokalibrowe sztućce od 9-ciu do 6·5 mm. o kuli częściowo płaszczykowej lub całopłaszczykowej z expanzą i o naboju prochu bezdymnego od 2—3½ grama. Sztućce te są dziś w powszechnem użyciu i przy zastosowaniu nowych, ulepszonych systemów lunet sztućcowych, umożliwiają strzał pewny do odległości 300 kroków — i dalej. Rzadko jednak można strzelać na tak dalekie mety z powodów już wyżej przezemnie przytoczonych.

Wszystkie sztućce małokalibrowe w nadmienionych powyżej granicach odznaczają się nadzwyczajną dokładnością, wielką zdolnością przebijania i ogromną dewastacyjną działalnością ich pocisku w ciele zwierza. — Co do różnicy na korzyść któregokolwiek z nich nie mogę nic powiedzieć, pomimo długoletnich doświadczeń własnych z wszystkimi prawie kalibrami.

Dobre są wszystkie, a czy kto woli 9 mm z 3½ gr. prochu, czy 6½ mm z 2·3/10 gr. prochu, lub też które inne pośrednie ogniwa z tego łańcucha, jest to rzeczą tylko osobistego upodobania lub zaufania do broni, bez wpływu na lepsze lub gorsze skutki.

Zwracam jeszcze uwagę tych wszystkich, którzy kiedykolwiek będą mierzyć do jelenia, że jestto zwierz odznaczający się ogromną siłą żywotną, trzeba więc się starać dobrze w nim kulę umieścić, gdyż inaczej bez względu na kaliber, idzie jeleń jeszcze bardzo daleko i często zupełnie przepada.

Pominąwszy grożącą przykrość utraty cennej zdobyczy, wskutek nierozważnego strzału, powinien każdym myśliwym powodować wzgląd na obowiązek jak najszybszego i najmniej bolesnego powalenia zwierza. Widmo szlachetnego zwierza, ginącego po długim czasie w strasznych męczarniach, niech szarpie zawsze myśliwskie sumienie tych, którzy lekkomyślnie i na niepewne strzelają. Obowiązkiem myśliwego jest jak najdokładniejsze przekonanie się o skutkach strzału i sumienne poszukiwanie ewentualnego postrzałka. Wszelkie zaniedbania w tym kierunku są karygodnem lekceważeniem etyki myśliwskiej i obowiązków wobec zwierza.

Błędnem byłoby twierdzenie, że te obowiązki są zakresem działania personalu łowieckiego. Kto chce zasłużyć na zaszczytny przymiotnik „hirschgerecht“ ten powinien nie tylko umieć jelenia podejść i ubić, lecz ponadto jeżeli chce w pełni doznać tego zadowolenia, jakie daje dopiero przez samego siebie wypracowana zdobycz, powinien umieć, jelenia skonstatować, wysłuchać, z tropu oznaczyć, a wreszcie postrzelonego nie opuścić, lecz uczynić wszystko co możliwe, ażeby go podjąć. Kto w tych wszystkich czynnościach, zasadniczo zastępuje się drugimi, ten pozostanie zawsze tylko marnym strzelaczem, choćby całe lasy jelenich wieńców rozwiesił na ścianach swego przybytku.

U nas przepada stosunkowo dużo postrzelonych jeleni. Winą tego jest po części brak wyszkolenia samych myśliwych i łowieckiego personalu, a głównie dotkliwy brak tropowców. Miejmy nadzieję, że temu ostatniemu brakowi zaradzi nasz nowy, a już świetnie zapowiadający się klub hodowli psów myśliwskich.



Nieco o jastrzębiu gołębiarzu.

Jastrząb gołębiarz (*Astur palumbarius, der Hühnerhabicht*), jest bezsprzecznie jednym z najszkodliwszych i najniebezpieczniejszych ptaków drapieżnych naszego kraju.

O jego odwadze, śmiałości, chęci mordu, przebiegłości i ostrożności, pisano już bardzo wiele.

Jeżeli i ja — do tego co już pisano, pragnąłbym nieco dodać, to czynię to w przekonaniu, iż o tym rabusiu, tak długo za wiele pisać nie można, dopóki jego liczba znacznie się nie zmniejszy, bo o jego zupełnem wytępieniu, chyba długo jeszcze myśleć nie będziemy mogli.

Wprawdzie i inne drapieżne ptaki, jak orły a szczególnie orzeł przedni (*aquila fulva, Der Steinadler*), z sokołów: sokół wędrowny (*falco peregrimus, Der Wanderfalke*), z kań: kania wielka i czarna (*milvus regalis et niger, Der rothe und schwarze Milan*), z błotników: zbożowy, bladopopielaty i stawowy, (*circus cyaneus, macrurus, pygargus et aeruginosus, Die Weihen*), tak samo krogulec (*astur nisus, Der Sperber*), z sów: puhacz (*strix bubo, Der Uhu*), i inne są szkodnikami, lecz tu mamy do czynienia z drapieżcami, przebywającymi u nas tylko podczas lęgu lub też chwilowo, podczas przelotu w jesieni i na wiosnę, zatrzymującymi się tylko niejako na „gościnne występy*), gdy przeciwnie jastrząb gołębiarz gnieździ się u nas w dość znacznej liczbie i przebywa przez cały rok, jestto więc niejako rabuś domowy, przed którym ostrzedz się trudno.

Ornitolodzy nazywają młode jastrzębie gołębiarze, aż do pierwszej zmiany upierzenia „*Falco gallinarius naevius L.*, do drugiej zmiany „*Falco gallinarius L.*“, a do trzeciej „*Falco gentilis*“. W pierwszem stadyum, ma on grzbiet ciemnobrunatny, skrzydła brunatne, popielato-sino nakrapiane; w drugiem, grzbiet ciemnobrunatny z jaśniejszymi końcami piór, skrzydła brunatne z rdzawemi plamami; w trzeciem, grzbiet i skrzydła brunatno-sine z rdzawemi kończynami piór. Również i inne części upierzenia są we wszystkich stadyach rozwoju, nieco odmienne. Wyrośnięty jastrząb po 3-em wypierzeniu, ma głowę i górną część ciała bardzo ciemno-sino-brunatne, między oczami biały pasek, skrzydła ciemno-brunatne, na wewnętrznej stronie z wielkiemi biało-sinemi plamami. Cała dolna część ciała brudno biała, u bardzo starych ptaków czysto biała.

Oprócz tych zmian barwy, zdarzają się jeszcze inne waryacye w ubarwieniu, chociaż już rzadziej.

Przy takiej różnorodności ubarwienia, kładziemy nie jeden grzech na karb innego drapieżnika, gdy w rzeczywistości mamy tu do czynienia z rabusiem z tego samego gatunku, tylko nieco w innem przebraniu.

Dr. Rörig, który badał żołądki wszystkich prawie ptaków drapieżnych, w kilkudziesięciu a nawet w kilkuset egzemplarzach, znalazł u jastrzębi-gołębiarzy, jako żołądkowe resztki: bażanty, kuropatwy, gołębie, zające, króliki, wiewiórki, a tylko w małych wyjątkach, resztki myszy.

Każda z naszych gospodyń wiejskich umiałaby coś opowiedzieć o jastrzębiu, który jej w drobiu szkody wyrządził a o wiele więcej myśliwi, hodowcy, o szkodach wyrządzonych przez jastrzębie w drobnej użytecznej zwierzynie a to: w zającach, kuropatwach, jarząbkach i bażantach.

Miejscowość, w której mieszkam, położona w okolicy podgórskiej, w dolinie na kilometr szerokiej, oto-

*) Krogulec i puhacz, są również u nas ptakami miejscowymi (Red.).

czona jest prawie ze wszystkich stron lasami, jakby wieńcem. Lasy te położone na wzgórzach, zbliżone są właśnie w tem miejscu, gdzie mieszkam, najwięcej do doliny, tak że dom mój mieszkalny zaledwie o kilkaset metrów od lasu z jednej i drugiej strony jest oddalony. Nic dziwnego zatem, że od drapieżców wszelkiego rodzaju, opędzić się trudno. Raz lis podkradłszy się zbożem pod folwark, wpada na dziedziniec lub do ogrodu, dusi kury, kurczęta, kaczki za ogrodem na potoku, innym razem jastrząb upatrzywszy z lasu, ze wzgórza, najodpowiedniejszą porę, gdy czeladź zajęta w budynkach gospodarczych, lub przy obiedzie, wpada, jak strzała na dziedziniec, rozpędza gołębie, lub siada na kurę i zabija ją. Najczęściej jednak trafia się to podczas nieobecności mojej, lub też w porze, gdy myśliwy jeszcze w łóżku, lub podczas poobiedniej siesty.

Czasem udaje mi się ubrać jako tako, złapać za torbę i strzelbę i wybiedz na werandę, lecz zwykle drapieżnik już pod lasem. Raz tylko udało mi się strzałem nastraszyć lisa, tak, iż opuścił unoszone 2 młode kaczki z 6 zabitych przez niego, innym razem spłoszyłem strzałem siedzącego na gołębiu pod lasem jastrzębia, tak iż gołąb wyszedł bez szwanku.

Kury małe krajowe lub też rasowe młode kury, gołębiarz zabija i unosi w szponach, lecąc nisko nad ziemią. Kury ciężkie rasowe, a nawet niewielkiego koguta, gołębiarz zabija wprawdzie, lecz nie jest w stanie go unieść. Gdy raz zabił gołębiarz taką kurę na kupie obornika i odstraszony został przez służbę, kazałem kurę napowrót na to miejsce położyć, a sam schowałem się ze strzelbą w stodole. Gołębiarz wkrótce nadleciał od strony lasu, lecz zanim się spuścił na kurę, posłałem mu ładunek z śrutem nr. 6. Padł z głośnem kwileniem tuż obok swej zdobyczy. Innym razem ujrzałem gołębia, uderzającego o okno mieszkania, wybiegłem szybko ze strzelbą z pokoju; kilka gołębi latało w popłochu naokoło domu, tuż za nimi gołębiarz. W pospiechu strzeliłem w chwili, gdy jastrząb skręcał poza dom, śrut obciął mu kilka piór ogona, skoczyłem w drugą stronę domu i posłałem za nim jeszcze jeden ładunek śrutu. Jastrząb i od tego strzału coś oberwał, bo doleciał z trudem tylko do lasu i znikł w jedlinie.

Gołębiarza tego a raczej tylko szczątki znalazłem w kilka tygodni później, pod jodłami na ziemi. W ogonie brakowało kilku piór, które mu pierwszy mój strzał, jak nożyczkami obciął.

Dolinę, w której mieszkam, przecina duży potok „Sprynia“, z płaskimi brzegami, obrośniętymi miejscami wikliną; ziemia na porzeczu urodzajna, na pagórkach pola rustykalne, jak i dworskie poprzecinane licznymi potoczkami, jarami, zarośniętymi tarniną i innemi krzaczystemi roślinami, liczne laski i pastwiska chłopskie porośnięte jałowcem, dziką różą, karłowatą brzozą i jedliną, tworzą z lasami obszar około 1500 hektarów, nader sprzyjający rozmnoży drobnej zwierzyny użytecznej, szczególnie dla kuropatw. To też od dawniejszych już lat, znajdowałem tutaj jesienią zawsze 4, 5 stadek kuropatw, pomimo, iż dla ochrony ich nic nie czyniono. Odstrzeliwałem po 8, 12, sztuk każdej jesieni, z pozostałych 30, 40 sztuk znajdowałem w następnym roku zawsze tylko 4, 5 stadek.

Zima 1904, 1905 łagodna, z krótko trwającymi śniegami, była nader sprzyjającą dla kuropatw.

Zastrzeliłem kilka lisów, dla reszty kazałem wywieść padlinę w głęboki las, a gdy się przekonałem po tropach na śniegu, iż padlina nadciętą została tylko przez lisy, naszpikowałem resztki padliny strychniną. Tym sposobem wyniszczyłem lisy, tak iż nie słyszałem w następnym roku chłopów skarżących się na nie.

Następstwem łagodnej zimy i znacznego wytępienia lisów był nadzwyczajny stan kuropatw i jarząbków. Słyszałem często wieczorem z werandy domu, wabiące się kuropatwy tuż za ogrodami w zbożu, w wiklinach.

Przechodząc w sierpniu środkiem lasu, naliczyłem w jednym dniu 4 stadka jarząbków.

We wrześniu wybrałem się z wyżłem na kuropatwy. Tuż za ogrodem, w kartoflach, podniosło się przed psem ze 40 kuropatw, zapewne 2, 3 stadka razem zbite; od pierwszego strzału padły 2; spłoszone kuropatwy, zapadły w krzakach pod lasem, odwołałem psa i nie poszedłem za niemi. Na gruntach dalszych, rustykalnych, nawet w miejscach, gdzie się ich znaleść nie spodziewałem, podnosiły się stadka, przeważnie silne kuropatw, naliczyłem 9 stadek w kilku godzinach, razem zatem ze stadkami koło domu około 12 stadek. Stan, jak na tutejsze stosunki nadzwyczajny. Zastrzeliłem tylko 4 sztuki i postanowiłem więcej tego roku nie strzelać i nie niepokoić ich w nadziei, że gdy choć połowa przezimuje, będę miał w przyszłym roku kilkadziesiąt stadek. Będzie to stan, jaki często w zachodnich prowincyach, a w naszym kraju tylko rzadko w której miejscowości znaleść można.

Jarząbków zastrzeliłem tej jesieni tylko 7, pozostawiając bardzo ładny stan tych kuraków na zimę.

Jeszcze z początkiem listopada, przejeżdżając z sąsiadem p. Ł. drogą, widzieliśmy ze 40 kuropatw przelatujących przez drogę z jednej oziminy na drugą.

W tym czasie kazałem leśnemu w kilku miejscach w łozach i pod lasem porobić budki z jedliny, dla zadawania karmy podczas zimy.

Ale nie długo potem, jeszcze przed spadnięciem śniegu, stojąc przed domem, spostrzegłem kilka kuropatw zapadających w ogrodzie, o jakie 20 kroków odemnie i chroniących się spiesznie w klombie szpilkowym. Wyglądnąłem za ogród i zobaczyłem 2 jastrzębie, uganiające za rozbitemi kuropatwami. Aha! pomyślałem, rachuby twe z kuropatwami zawiodą, zapomniałeś o jastrzębiach! Tak też się rzeczywiście stało. Już na drugi dzień, powracającemu z wyżłem z lasu, wystawił mi pies kuropatwy na ściernisku pod lasem. Nie strzelałem. Kuropatwy przeleciały krawędzią wysokiego lasu na zrąb. Zaledwie uszedłem kilka kroków, widzę wracającą jedną kurę ze zrębu ponad wysokim lasem o trwożliwie brzmiącym głosie „cir-lit“, O jakie 50 m. za nią zdążał jastrząb gołębiarz. Za daleko, nie strzeliłem. Kuropatwa zapadła za skrętem lasu, tuż za nią spuścił się z nadzwyczajną szybkością gołębiarz. W kilku minutach byłem na skręcie lasu, gołębiarz podniósł się już z kurą w szponach i wleciał w las. Podążyłem za nim i zobaczyłem, gdy z kurą opuszczał jedno z drzew, lecz mimo strzał na „chybił trafił“, kury ze szponów nie wypuścił. Spadły śniegi. Widywałem codziennie prawie po kilka jastrzębi, przelatujących nisko nad łozami, lub też powracających nad wieczorem w jedlinę na nocleg.

Tylu jastrzębi nigdy nie zauważyłem tutaj, widać kuropatwy, jarząbki dostarczają im obfitego stołu i zatrzymują tutaj, pomyślałem. I tak było rzeczywiście. Odtąd codziennie prawie zdybywałem w łozach, w lesie, ślady rozszarpanych kuropatw, rzadziej jarząbków. O wielu więcej takich śladach zbrodni, donosiła mi służba leśna. Przejeżdżając doliną widziałem często tych rabusiów siedzących na znajdujących się między polami tu i ówdzie dębach,

gruszach polnych, z których to miejsc całą dolinę przeglądnąć i każdą kuropatwę na śniegu dojrzeć mogły. A gdy od drugiej połowy stycznia jastrzębie do drobiu na dziedzińcu, a szczególniej do gołębi naprawdę się zabrały, tak, że prawie codziennie jedna kura lub gołąb ginął, wiedziałem, że nie mam już kuropatw a i jarząbków pewnie bardzo mało pozostało.

Gdy pewnego dnia powróciłem z lasu do domu, zastałem żonę robiącą jakąś operacyę na kurze, którą kucharka w rękach trzymała. Widzisz, mówi żona, najpiękniejszej i najulubieńszej mej kurze „dudkowi“ jastrząb zdarł skórkę z szyjki aż do skrzydła, zaszywam, lecz nie wiem, czy się to na co przyda. Fatalny jakiś rok, tyle kur najpiękniejszych a z kilkunastu gołębi nie pozostało już tylko 3. Strzelasz dziki, rogacze, a jastrzębiom rady dać nie możesz, itd.

Chcą zapobiedz dalszym wyrzutom, musiałem chcąc nie chcąc „faire bonne mine au mauvais jeu“ i odrzekłem: ha, moja kochana, trudno, walka o byt, i jastrząb żyć chce; co do dudka, to mówiłem ci już, że właśnie ten piękny czubek kiedyś zgubą dla niej będzie, bo zasłania jej wzrok ku górze, powtóre, kura ta tak była oswojoną, że nie bała się nikogo, nawet jastrzębia; a co do kur, to pozostawiłaś ich na zimę za wiele, tak samo i gołębi, przez co ściągnęły się do nas jastrzębie w większej liczbie.

W kilka dni potem zabił jastrząb kurę przed wieczorem w ogrodzie; unieść jej nie mógł, więc pożerał na miejscu, skąd go spłoszono. W nadziei, że jastrząb najedzony, dopiero nazajutrz rano powróci, kazałem kurę przywiązać sznurkiem do jabłonki. Gdy rano wyglądnąłem przez okno, jastrząb był już przy kurze. Gdy otworzyłem drzwi mieszkania, gołębiarz podniósł się z kurą na wysokość metra tj. na długość sznurka, tu na chwilę zawisł w powietrzu z rozpiętemi lotkami, robiąc balansowaniem w prawo i w lewo z powodu sznurka komiczną figurę. Skorzystałem z tej sposobności i posłałem mu z przyjemnością ładunek śrutu, którego otrzymanie tenże padając głośnem kwileniem skwitował.

Na wiosnę, w lecie, łatwiej jest ustrzedz się przed jastrzębiami, przychodzą tu w pomoc najpierw wrony, gnieżdżące się w bliskości, później jaskółki i pliszki tak zwierzynie, jak kurom i gołębiom. Gołębiarz jest wielkim niszczycielem młodych wron, dlatego z wielką zaciętością i wielkim wrzaskiem prześladują go wrony tak długo, dopóki nie opuści miejscowości, zamieszkanej przez nie.

Na każde takie ostrzeżenie chowają się kury i gołębie do kurników i gołębników, nawet wróble chowają się w zaroślach.

Inaczej jest w jesieni i zimie, gdy wrony lęgowe odlecą, a gorzej jeszcze, gdy i jaskółki i pliszki nas opuszczą; wtedy gołębiarz, ten domowy złodziej jest panem sytuacyi. Śmiało twierdzić można, iż 80% szkód, wyrządzanych przez ptaki drapieżne, przypisać należy gołębiarzowi.

Byłem zawsze mniemania, iż tylko broń palna jest godnem narzędziem w rękach myśliwego do tępienia drapieżców, lecz co za rezultat, pomyślałem, zastrzeliłeś w 5 latach 3 jastrzębie-gołębiarze, a szkody?... kilkanaście kur i tyleż gołębi domowych a setki pewnie kuropatw i jarząbków padły ofiarą tych rozbójników, nie mówiąc już o zającach, gołębiach dzikich, przepiórkach itd.

Przemyśliwając nad zapobieżeniem na przyszłość tym tak fatalnym doświadczeniom z gołębiarzami, wziąłem do ręki znakomity podręcznik Dombrowskiego (Lehr- und Handbuch für Berufsjäger von Raoul R. v. Dombrowski, Wien 1884.) Autor, jeden z najlepszych myśliwych, zaleca chwytanie „gołębiarzy“ w żelazka na koszach z gołębiem białym, dalej strzelanie przy puhaczu, na którego gołębiarz z zawziętością uderza itd. — Obstalowałem taki kosz (Habichtskorb) z fabryki R. Webera, z Haynau na Śląsku pr., a obecnie mam już i puhacza żywego.

Co do kosza, to moje doświadczenia nie dały dotychczas dodatniego rezultatu, może być dlatego, że mam tylko jeden kosz i ten nastawiam tylko czasem w ogrodzie, gdy dla osiągnięcia dobrych rezultatów, należałoby może mieć takich koszów więcej i umieszczać w dalszych spokojniejszych miejscach np. w remizach, zrębach.

Co do puhacza, to przyobiecuję sobie po nim bardzo wiele, mam go jednak za krótko jeszcze, aby coś o polowaniu z puhaczem na ptaki drapieżne a szczególniej na gołębiarze, z własnego doświadczenia napisać. Polowanie z puhaczem przedstawia dla prawdziwego myśliwego wiele uroku, musi być bardzo zajmującem, jeżeli tak dostojni myśliwi, jak np. ś. p. arcyksiążę Rudolf z szczególnem upodobaniem się mu oddawał; dla młodych myśliwych jest ono pouczającem, bo nauczy ich przedewszystkiem cierpliwości, rozróżniania drapieżców a nareszcie przysporzy im wprawy w strzelaniu ptaków w locie; straży łowieckiej zaś w skarbach, gdzie płacą „strzałowe“, przysporzy i dochodów.

Szanownych myśliwych, którzyby szczegółowo o polowaniu z puhaczem poinformować się chcieli, odsyłam do bardzo dobrego opisu tego rodzaju polowania, przez pana W. Słonczyńskiego, umieszczonego w Łowcu z r. 1896 Nr. 7, 8 i 9.

W Austryi niższej, na Morawach, miałem sposobność, bardzo często widzieć budki z suchem, mało rozgałęzionem drzewem dla polowań z puhaczem, nie brakuje tam puhacza w żadnem większem leśnictwie, ponieważ tego rodzaju polowania, od dawnych lat tam są praktykowane. Temu zapewne przypisać należy, że drobna zwierzyna użyteczna, tak się tam rozmnożyć mogła, iż na polowaniach setki a nawet tysiące drobnej zwierzyny, przeważnie zajęcy, kuropatw i bażantów padają. Na polowaniach w Göding np. w dobrach fam. cesarskich, padało w 10 — 12 strzelb, w 2 dniach średnio 1600 sztuk drobnej zwierzyny, ale tam też każdy adjunkt lasowy miał puhacza.

I u nas stan zwierzyny podnieśćby się mógł, gdyby polowanie z puhaczem więcej się rozpowszechniło. Gdybyśmy w każdym powiecie przynajmniej 2 — 3 puhaczy u dobrych myśliwych mieli, to może nie udawałoby się długo takiemu rabusiowi „gołębiarzowi“ robić codziennych wycieczek w bliższą i dalszą okolicę bezkarnie.

Niniejszym artykulikiem pragnąłbym pobudzić szanownych myśliwych do nieco energiczniejszej akcyi przeciw „gołębiarzowi“, temu największemu skrzydlatemu wrogowi naszej drobnej zwierzyny, a jeżeli mi się to choć w małej części uda, jeżeli skłoni którego z panów myśliwych do urządzenia u siebie polowań z puhaczem, jeżeli nareszcie uda mi się, tych panów myśliwych, którzy w tępieniu szkodników skrzydlatych, a szczególnie „gołębiarzy“ większe już doświadczenia za sobą mają — zachęcić do podzielenia się z nami swemi doświadczeniami w łamach naszego kochanego „Łowca“, to zrobi mi to prawdziwą przyjemność.

Śmierć gołębiarzom!!

Monasterzec w marcu 1907.

Stanisław Frankiewicz.

„ŁOWIEC POLSKI“.

W PODRÓWNIKOWEJ AFRYCE

1905 r.

Niewydany Dziennik Podróży Pani Anny de la Motte Saint-Pierre.

Z francuskiego tłómaczył

Jan Sztolcman.

Były porucznik marynarki francuskiej, p. Guy de la Motte Saint-Pierre, syn bogatego właściciela ziemskiego departamentu Indre et Loire, a sam posiadacz wielkich włości na Madagaskarze, odbył przed dwoma laty, w towarzystwie swej młodziutkiej żony, wycieczkę myśliwską do portugalskich kolonij Afryki wschodniej. Wyprawa ta, oprócz licznych trofeów z dziedziny antylop, nie dała ważniejszych rezultatów; posłużyła jednak za wstęp do całego szeregu wycieczek, które młody, a zapalony myśliwy zamierzył przedsięwziąć. Jakoteż w roku zeszłym p. de la Motte udał się najprzód sam na Madagaskar w sprawach majątkowych, a następnie w końcu czerwca zjechał się w Mombasa ze swą żoną, która przybyła z Europy w towarzystwie kuzyna męża, p. Henryka de la Motte Sant-Pierre. Stąd we troje zrobili kilkomiesięczną wyprawę nad jezioro Baringo w Środkowej Afryce, podczas której odbyto ciekawe łowy na słonie, nosorożce, lwy, hipopotamy i rozmaitą, drobniejszą zwierzynę. Nadto pani de la Motte, jako córka znanego entomologa francuskiego, p. Brabant, zajmowała się zbieraniem owadów, osobliwie motylów. Dama ta udzieliła nam łaskawie dziennika podróży, który najskrupulatniej prowadziła przez czas trwania podróży. Cieszymy się nadzieją, że czytelnicy nasi znajdą w nim niejeden ciekawy epizod; z drugiej zaś strony wyrażamy wdzięczność, że pani de la Motte udzieliła nam swych interesujących notatek, zanim one zostały opublikowane we francuskim języku.

Redakcya Łowca polskiego.

Dziennik podróży.

Guy przybył na parowcu „Irawaddy“ na godzinę przed zawinięciem do portu „Djemnah'a“, który wiózł mnie i Henryka, a tym sposobem 28. czerwca uważać można za dzień naszego *rendez vous* w Mombasa. Przedewszystkiem należało złożyć wizytę przedstawicielom władzy. Ponieważ sir Donald Stewart znajdował się w Nairobi, więc udaliśmy się do jego zastępcy, podkomisarza, p. Lane, który nas przyjął nadzwyczaj grzecznie. Wizyta u niego zmieniła z gruntu wszystkie nasze plany, gdyż p. Lane, zwrócił naszą uwagę na obecność stada słoni na samem pobrzeżu, o trzy dni drogi od Mombasa. Obiecał też nam sprawdzić tę swoją wskazówkę, i w dwie godziny potem telefon przyniósł nam wiadomość, że słonie znajdują się tam ciągle, „waiting to be shot“ (oczekując na zabicie).

Cztery dni zużyliśmy na załatwienie naszych interesów, jak uregulowanie kwestyj celnych, wybór kucharza, „tent boys“ (ludzi do obslugi namiotów), „gunbearers“ (strzelbonośców) „askaris“ (żołnierzy) i „headman“ (dowódcy karawany).

Nareszcie *2. lipca* wyruszyliśmy po wysłuchaniu rannej mszy św. Cóż za radość, gdyśmy po opuszczeniu wyspy Mombasa znaleźli się na stałym lądzie Afrykańskim! A mieliśmy czas na oddanie się temu uczuciu zadowolenia, gdyż czekać musieliśmy we Frere-Town, zanim cała karawana przebędzie wodę. Nasi tragarze poowijali sobie głowy czerwonemi kołdrami, w formie turbanów, co im nadaje wyraz marsowy.

Droga nasza ciągnie sią przez „shambas“: plantacye patatów, manioku, bawełny, bananów, ukrywających się pod cieniem mangowców i palm kokosowych; gdzieniegdzie miejsca ich zastępują oryginalne palmy o licznych ramifikacyach; nazywamy je „głowami jeleniemi“, bo ilość ich wyrostków wzrasta z wiekiem. Po czterech godzinach marszu, przebywamy rzekę Mtwapa w wielkiej pirodze; cudowna jest ta przeprawa po błękitnych wodach, okolonych dwiema ścianami zwrotnikowej roślinności. Rozbijamy obóz we wsi, w oczekiwaniu naszych ładunków, racząc się wodą kokosową. Wprawdzie naczelnik tej osady jest nieobecny, ale natomiast zjawia się jego zastępca, jakiś Indyanin, który nam każe przynieść owoców i wody.

Nazajutrz, *3. lipca*, droga nasza przez pięć godzin ciągnie się wśród uroczych plantacyj kokosowych wzdłuż brzego morskiego, omywanego przez spienione fale. Następnie wkraczamy do gęstej, jednolitej dżungli; która się ciągnie aż do Kuruitu, miejsca naszego obozowiska.

4. lipca powinniśmy stanąć u celu naszej podróży; jakoż po trzygodzinnym marszu docieramy do wielkiej osady Takaongo, gdzie składamy wizytę „walemu“ (szefowi arabskiemu), człowiekowi bardzo miłemu i dystyngowanemu. Zaledwie zdążyliśmy zamienić z nim kilka słów, gdy rozległ się dzwonek telefonu: to p. Maclean, „the Colector“ Malindi, który zapytuje o nas i zawiadamia, że nazajutrz przyśle nam przewodnika (shikarego).

Wali odprowadza nas do pirogi, na której przebywamy rzekę, i daje nam jednego „askaris'a“, który ma nas „przedstawić“ naczelnikom wsi okolicznych.

Po godzinie przebywamy do Kilifi. Gdy wszyscy znajdują się na przeciwległym brzegu, puszczamy się i my; olbrzymie delfiny pływają spokojnie przed naszą barką.

Ta ostatnia część drogi biegnie wpośród drzewiastych mahonij, oraz rozmaitych ukwieconych krzaków; wkrótce jednak odwracamy od nich uwagę, bo oto zjawiają się pierwsze tropy słoniów!... Prowadzą one aż do samej wsi M'tondia.

Tutaj przybywa na nasze spotkanie p. Mackertish, agent syndykatu eksploatacyi leśnej, człowiek bardzo miły, i opowiada nam o rozpaczy miejscowej ludności, która widzi zniszczone przez słonie wszystkie swe plantacye kukurydzy, patatów i palm kokosowych.

Przed obiadem Guy udaje się, dla sprawdzenia tropów, lecz niema mowy o „zacieraniu“ ich, gdyż nato potrzebaby było całego zastępu grabarzy... Kontentuje się więc tylko zamarkowaniem ich, a następnie wydaje rozkaz askarisom obudzenia go o każdej porze nocy, skoro tylko usłyszą głosy słoniów.

5. lipca schodzi na oczekiwaniu shikarego, a także wtajemniczaniu Salima i Alfreda, w jaki sposób filtrować wodę i przyrządzić „kawę francuską“.

6. lipca. W oczekiwaniu shikarego, odbywamy wycieczkę w stronę morza. Dostajemy się tam ścieżką wśród

gąszczu, na piękne piasczyste pobrzeże. Czas jest pochmurny, a morze mieni się szaremi i zielonemi barwami. Na pobrzeżu odkrywamy prześliczną grotę wśród skał i chronimy się tam przed ulewnym deszczem. Znalazłszy doskonały zakątek, biorę kąpiel, poczem wracamy do domu, kupiwszy po drodze od rybaków langustę i dwie ryby — wszystko to za 5 „annasów“.

(C. d. n.)



Korespondencye.

O stosukach łowieckich w Trembowelskiem. Odnośnie do korespondencyi w ostatnim numerze Łowca, podaję wynik polowań, odbytych w tutejszym powiecie, w ubiegłym sezonie myśliwskim.

W pierwszych dniach grudnia 1906 odbyło się polowanie w lasach miejskich trembowelskich, w których polowanie dzierzawi rotmistrz p. Traxler. Strzelb było 10. Na rozkładzie znalazło się 22 zajęcy.

W dniach 2-go i 3-go stycznia 1907, polowano w Podhajczykach justynowych, dobrach Hr. Leopolda Koziebrodzkiego w strzelb 12. Padło 3 kozły i 220 zajęcy.

Na 4 i 5-go stycznia br. otrzymałem zaproszenie na polowanie w Budzanowie, u Pana hrabiego Marszałka Jerzego Baworowskiego. Polowaliśmy w strzelb 10. Upolowano: 14 kozłów, 2 lisy, 242 zajęcy i 14 bażantów.

Skromny w porównaniu do roku ubiegłego (padły 3 dziki prócz znacznie większej ilości zajęcy) rezultat polowania, przypisać należy fatalnej pogodzie w drugim dniu polowania, zaspom śnieżnym i okiści, które nie pozwalały należycie iść nagonce, i niedyspozycyi pana gospodarza który jako zamiłowany myśliwy jest duszą swych pięknych polowań.

W dniu 10 stycznia b. r. odbyło się polowanie w dobrach Młyniskich Pani hr. Borkowskiej, w rewirze „Zabroczucha“.

Polowaliśmy w strzelb 12. Padło 46 zajęcy.

Na polowaniu tem podziwiałem strzał dra Bylińskiego ze śrótówki Browninga do zająca na 96 kroków.

Zając rulował z dymem.

„Morgen ist die Jagd in Kobylowloki“ powtarzali sobie dnia 25 stycznia br. z radości zacierając ręce, Panowie oficerowie myśliwi w Trembowli, ciesząc się na to polowanie, które co roku daje wiele przyjemności i niespodzianek.

To też i tegoroczne polowanie dopisało, a była i niespodzianka, bo w ostatnim miocie wysunął się niezapowiedziany na linię strzelców ładny dzik trzylatek i padł od celnej kuli Pana Stanisława Perekładowskiego, pełnomocnika dóbr Młyniskich.

Polowaliśmy w strzelb 12. Na rozkładzie znalazły się 1 dzik, 1 kozioł, 1 lis i 66 zajęcy.

Na dzień 28 stycznia br. zaproszono mię do Ruzdwian, na polowanie do Dra Jakóba Sommersteina.

Polowaśmy w tej przestronnej kniei w strzelb 14 i dwie nagonki a ubili 39 zajęcy. Pogoda sprzyjała.

Podając wyniki polowań wspomnę jeszcze o miłem polowanku, które każdego roku trwa tylko 1 godzinę, którego terenem „Ścianka“ w Plebanówce, a gospodarzem pan Ottomar Baborski.

Cały teren kilkomorgowy Ścianki to miot jeden polowaliśmy tam 15 grudnia 1906 w strzelb 5; na rozkładzie znalazło się 17 zajęcy. Kilkanaście zajęcy wymknęło się przed zajęciem stanowisk.

Przed dwu laty polowanie to było jeszcze więcej ożywione kilku lisami — roku zeszłego lisów nie było.

Reasumując to, co powyżej opisałem, dodam, że dziki w powiecie tutejszym znajdują się w lasach Budzanowskich, dokąd zachodzą z lasów sąsiedniego Jabłonowa.

W lasach kompleksu pierwszego: trembowelskich ruzdwiańskich i strusowskich dzik bywa bardzo rzadki; tej zimy ubito w Strusowie, starego dzika sposobem tam przyjętym polowania, na wszystko „po cichutko“, aby wielkiego rozgłosu nie robić, tj. bez gremialnego polowania i bez zaproszonych gości.

Stan sarn w powiecie jest podobnie jak wszędzie, miejscami lepszy lub gorszy. Nigdzie jednak niema ich za wiele, o ile zauważyć mogłem.

W lasach trembowelskich i ruzdwiańskich nie miałby szerokiego pola do popisu myśliwy, któryby hołdował dawnej zasadzie:

„Żaden szlachcic prawdziwy nie wziąłby do ręki
Strzelby, którą zhańbiono, sypiąc w nią śrót cienki“.

bo jakkolwiek i w tych lasach sarny się pojawiają, to jednak zawsze sytuacyę i wynik polowania ratuje w tych lasach nasz poczciwy szarak.

Lisy również w ostatnich czasach mniej są widoczne. Liczba ich zmniejsza się stale, czego dowodem wyniki polowań.

Przed trzema laty polowanie w Podhajczykach justynowych w jesieni, wyłącznie na lisy urządzone, dało ich 22 na rozkładzie.

Ostatnie tego rodzaju polowanie w roku ubiegłym, byłoby zamało ożywione, gdyby się nie było strzelało i do kozłów.

Bażanty z wielkim nakładem wprowadził w swych lasach w Budzanowie w roku ubiegłym, Pan hrabia Marszałek, Jerzy Baworowski.

Wypada mi tu jeszcze dodać, że w lasach Podhajczyk justynowych, pojawiają się sporadycznie orły, których kilka pięknych okazów zdobi westybul pałacu w Podhajczykach.

„Myśliwy“.

Jaką naukę wysnuć możemy z berlińskiej wystawy rogów?

Stwierdzonym jest faktem, że na wystawie berlińskiej górowały jakością rogi sarnie z dzielnic polskich nad rogami z krain niemieckich. Choć zaś przypadek zrządza czasem, że nam niespodziewanie przychodzi przed lufę zwierz, na którego przez dłuższy czas bezskutecznie polowaliśmy, że dalej, jak fama niesie, na pewnej wystawie premiowano rogi od kłusownika zakupione, to jednak tutaj gdzieindziej i głębiej przyczyny lichych parostków sarn w stronach niemieckich szukać trzeba.

Przyczyną jest zanadto w Niemczech wybujały sport łowiecki. Koronaci i magnaci oparkaniają tam swe lasy i nie szczędzą wcale grosza, by tylko swą namiętność do

polowania, a nawet mordowania zaspokoić i by się mnogością zwierzostanu popisywać. W mniejszych znów lasach, mało się troszcząc o dobro zwierzyny, korzysta się z niej nadmiernie. Zapanowała też mania szczycenia się zdobytymi jelenimi i sarnimi rogami. Już nawet w biednych mieszkaniach miejskich widzimy porozwieszane na ścianach trofea myśliwskie, a bogatym właścibielom lasów już prawie braknie ścian w sieniach, kancelaryach i fumoirach do umieszczania na nich rogów. Nawet panie nasze zaczynają już na tę manię myśliwską zapadać. Przed 3 laty spotkałem na dworcu kolejowym p. hr. Sz., wracającą z Królestwa z znaczną paczką rogów sarnich.

Głosząc zdanie, że ród sarni żyje w poligamii, że jeden rogacz dla dziesięciu kóz wystarcza, że w razie zupełnego braku rogaczy, siuty zwabiają je sobie z sąsiednich, a czasem nawet z odległych rewirów, strzela się, zwykle tylko dla rogów, każdego napotkanego rogacza. A jakie wynikają z tego skutki? Oto, wiele kóz jałowych, a zapłodnione przez wyczerpane nadmiernym hymenem rogacze, słabowite wydają potomstwo. Prawda, że w braku starszych, małe rogaczyki, śpiczaki, pełnią małżeńskie obowiązki, ale lichą tylko tworzą progeniturę.

Za pierwszą więc przyczynę karłowacenia rodu sarniego, uważam brak dobrych, rozpłodowych rogaczy. Karłowacenie zaś to coraz dalej przez to się rozszerza, że syn z matką i brat z siostrą o rozmnożenie swego rodu się starają.

Jak zaś wogóle u zwierząt, tak też u sarn, są silne, zdrowe, dobrze zbudowane osobniki, ale są też cherlaki. Zdrowotność rogaczy objawia się głównie przez rogi. Całkiem normalne, mocne rogacze, mają wysokie i grube rogi, które czasami, z wiekiem, perłami porastają. Że zaś myśliwym zapaleńcom, zwłaszcza majętniejszym, przeważnie tylko o rogi chodzi, puszczają oni zwykle bez strzału słabo uwieńczone niedołęgi, a poszukują tylko mocnych, kapitalnych szóstaków, lub ósmaków. Zdobywanie okazałych rogów, staje się prawie chorobliwą namiętnością. Skoro więc tylko dzień 15. maja, czyli dzień ustania ochrony rogaczy nadejdzie, zauważymy w wagonach kolejowych i na najrozmaitszych powózkach podróżujących myśliwców; w lasach słychać sztućcowe strzały, a sarnina z dniem każdym tanieje.

Zgubna dla rodu sarniego chęć zdobycia okazałych rogów w Niemczech, szersze już, niż u nas, ogarnęła koła. Chęć ta już tam, co na wystawie berlińskiej zauważyliśmy, złe, w porównaniu z Poznańskiem i z Prusami królewskiemi i książęcemi, okazuje skutki. Ale już i u nas, w niektórych okolicach, zaczynają znikać kapitalne rogacze. Upamiętajmy się więc, póki jeszcze czas, i nie tępmy tylko wybitnych sarniego rodu przedstawicieli. Nie polujmy tylko dla zdobycia rogów!

Za najważniejszy środek do zapobieżenia degeneracyi sarn, uważam sprowadzanie do rewirów naszych, obcych, ile możności z ostrzejszego klimatu pochodzących, silnych rogaczy. Odświeżenie, a raczej zmieszanie krwi u zajęcy z obcą, dobre wykazało rezultaty, a takie same, a może nawet lepsze rezultaty uzyskalibyśmy u sarn.

Dalej radzę nie wierzyć bajce tępicieli, że jeden rogacz zupełnie dla dziesięciu kóz wystarcza, a gdyby stosunek jeszcze miał być gorszym, to kozy sobie same sprowadzą kochanków.

Że zaś przy dobrym zwierzynostanie rzeczywiście corocznie pewną ilość rogaczy odstrzelić można, to należy przeważnie na te osobniki polować, co słabe, liche, mają porostki, by swej słabości i niedołężności potomstwu nie przekazywały. Suchotnik bardzo często spładza suchotnika, epileptyk epileptyka, wogóle wiele chorób przechodzi z rodziców na dzieci. Jasną też jest rzeczą, że słabowity rogacz do degeneracyi rodu się przyczynia. Strzelanie rogaczy w drugiej połowie września i w październiku, gdy już mocne rogacze swój obowiązek spełniły, gdy już popęd płciowy ustał, mniej jest szkodliwem, jak polowanie na nie przed ich godami małżeńskimi.

Mylnem też jest zdanie, że kóz wcale strzelać nie trzeba. Przeciwnie, kozy stare, jałowe, które wiele częściej i namiętniej zaspokojenia swej namiętności żądają, niż kozy do rozpłodu zdatne, przedewszystkiem strzelać, a nawet tępić wypada. Tak samo trzeba usuwać kozy młode, ale chorowite i słabowite. Czynności jednakże tej nie można załatwiać na polowaniach, na nagonkach, bo by za bezzębne staruszki ześrutowano niejedną zdrową, liczną jeszcze progeniturę obiecującą matkę. Do kóz powinien tylko kulą strzelać, dobrze rewir i sarny znający myśliwy.

Chcąc mieć sarny zdrowe, a rogacze dobrze uwieńczone, należy je też paść dobrze, a zwłaszcza w zimie, gdy zmarznięty śnieg pokrywa drobną roślinność, a sarny się od mrozu kurczą.

Przestrzegam tylko przed pasieniem ich łubinem.

W celu wpływania na zdrowotność sarn i wywoływania bujniejszego wzrostu rogow, poleca się także urządzanie stosownemi chemikaliami zaprawnych lizawek. Że sarny chętnie korzystają z lizawek, rzecz stwierdzona, bo przecież zwierz każdy, instynktem wiedziony, czuje dobrze, co mu jest potrzebnem, a co szkodliwem. Lizawki, zwłaszcza po ciężkich zimach, bardzo są przydatne.

Siedliska w marcu 1907.

Po skończonym sezonie polowań, czas zdać sprawę z naszego dorobku. Seson był co do ilości zajęcy bardzo dobry, więc rezultat w porównaniu z latami ubiegłemi znacznie lepszy i był niewątpliwie znaczny przyrost w zwierzostanie. Osobliwie w bliższem sąsiedztwie Rawy jest kilku myśliwych, posiadających większe tereny łowieckie, którzy z wysiłkiem i znajomością rzeczy wytrwale pracują nad podniesieniem zwierzostanu. Wzorowa gospodarka łowiecka i nadzwyczajny ład, czynią udział w polowaniach u tych Panów prawdziwą biesiadą myśliwską.

Ogółem, na kilku polowaniach, w kilka lub kilkanaście strzelb, padło w ubiegłym sezonie przeszło 1800 zajęcy, to chyba dość na naszą okolicę, w warunkach przeciętnie mniej korzystnych będącą.

Szczegóły podał sąsiad delegat, ja więc ograniczę się do wzmianki, że staramy się jak możemy nieść wysoko sztandar św. Huberta i udaje się to nam nie najgorzej. A raczej udawało się nam to dotąd, bo rok obecny, rok klęski, spowodowanej niebywale ostrą zimą, cofnie nas w naszej pracy znów o 20 lat wstecz i nie małego trudu i nakładu będzie potrzeba, aby doprowadzić zwierzostany do dawnej wysokości.

Należy podkreślić, że rezultaty naszych polowań, to nie z polnych polowań plon, ale wszystko z leśnych pogonek zdobycz, co stanowi bardzo znaczną różnicę. Taki „sztreif polny“, często kilometr szeroki a kilka kilometrów długi, obejmuje w jednodniowem polowaniu, parę tysięcy morgów. Natomiast 10 miotów leśnych w krótkim dniu zimowym branych, to najwyżej 300 do 400 morgów spo-

lowanej przestrzeni. Jeśli się do tego zważy, że w miotach leśnych mniejsza część zwierzyny wychodzi na linię, a większa część w gąszczach wraca w tył na nagonkę, stosunek ubitej zwierzyny w lesie, w porównaniu do ubitej w polu w kotłach lub „sztrejfach“ będzie jeszcze bardziej jaskrawy. Z samej więc tylko ilości ubitej zwierzyny, nie można wyrokować o bogactwie zwierzostanu i o racyonalności gospodarki łowieckiej.

Rezultaty naszych polowań przed nadzwyczajnymi mrozami, które nas nękały z jednakiem nasileniem, przeszło 30 stopni Cels. poniżej zera od 15-go stycznia do 23 włącznie, były mimo szalonej okiści znacznie lepsze niż po tych mrozach. Pominąwszy częściowy strajk nagonki, polowało się jakoś i były to polowania o tyle niezwykłe, że strzelanie na zawalonych przez pogięte drzewo liniach, było bardzo trudnem, w zupełnie odmiennych warunkach, gdyż przed pojawieniem się zwierza na linii, nic się wogóle o jego zbliżaniu się nie wiedziało. Po strzale w drugiej ścianie linii, waliła się cała lawina śniegu i często trzeba było zajęcy w tym śniegu dopiero szukać — emocyi więc było nie mało, a na każdem stanowisku inne niespodzianki. Mimo tych trudności trzymała się nasza wiara tęgo, gdyż to przyznać trzeba, że w naszem gronie dużo nietylko dobrych myśliwych, ale i pierwszorzędnych strzelców.

W pierwszej chwili po mrozach, nie można się było zorjentować, czy i o ile te piekielne, kilkodniowe zimna zaszkodziły zwierzynie, ale już pierwsze polowanie bezpośrednio po mrozach wykazało fatalne następstwa. Zwierzyny w lesie, czy to w skrajkach czy w głębszej kniei, prawie nie było, a naganka wyniosła dosć wiele zmarzniętych zajęcy i to w pobliżu tryzub znalezionych, nie głód więc, ale zamarznięcie było powodem śmierci. Od tej pory ustawicznie znachodzimy padłe zające, najwięcej pod stertami na folwarkach i na polu i koło tryzub w lesie. O sarnach już i nie wspominam, bo tych część każdej zimy ginie; wogóle są one mniej odporne na zimno, osobliwie na głębokim śniegu, gdy ruch utrudniony, ale aby zające zamarzały, o tem pierwszy raz w życiu się przekonywam. Kuropatw znachodziliśmy całe stadka, zbite w kupkę, zmarznięte, a nie brakło budek i karmy. Z początkiem zimy widzieć można było z gościńca w pobliżu Rawy 17 stadek, a dla każdego była osobna budka i chodziły one tam regularnie na poślad pszenny, co drugi dzień sypany. Obecnie widuję tylko siedm sztuk, reszta z pewnością zginęła ze zimna lub wyłapali je chłopi koło chałup. Cóż to dopiero dziać się musiało tam, gdzie kuropatw nie żywiono? W Rawie po mieście spacerowały bażanty i zające pomiędzy żydowskimi domami, ku wielkiej uciesze gawiedzi; ile ich z tych spacerów nie wróciło do lasu, trudno się doliczyć. Chłopi mieli tego roku nie lada karnawał, żandarmerya skonfiskowała masę sideł na kuropatwy i strzelb, ale co to wszystko znaczy wobec tej masy głodnych zajęcy, wyłapanych i wybitych pod stodołami. W Rawie, w jednym tylko dniu, skonfiskowała policya na wozach włościańskich kilkanaście kuropatw i zajęcy.

Jednem słowem klęska na całej linii, tem dotkliwsza że i wiosna zrobi swoje, a nowa ustawa łowiecka także zapewne nic dobrego nam nie przyniesie.

Nie tylko w Galicyi jest źle ze zwierzyną. Piszą mi właśnie z Czech, że nie mogę liczyć na zamówione od znajomych mi właścicieli polowań kuropatwy i zające, bo i tam klęska.

Skoro już mowa o Czechach, chciałbym się z szanownymi czytelnikami podzielić wrażeniami, jakie odniosłem z tamtejszych polowań. Jeżdżąc do Karlsbadu dość często na kuracyę, miałem sposobność porobić znajomości, które mi dały sposobność polowania w różnych okolicach bliższych i dalszych Karlsbadu, w rozmaitych towarzystwach. Brałem udział w polowaniach na terenach magnatów, na dzierżawionych polowaniach gminnych przez bogatych hotelierów karlsbadzkich, a miałem także sposobność polowania z chłopami na ich gruntach, więc dość dobrze poznałem stosuki tamtejsze. W ubiegłym sezonie byłem tam już ku końcowi września, w czasie kiedy kuropatwy źle dotrzymują, mimo to polowaliśmy kilka razy w Schakenwert (własność wielkiego księcia Toskany) w Kaaden, Bremersdorf i Komotau w pobliżu Saaz. Nie przypuszczałem, aby taka masa zwierzyny na małych terenach była wogóle możliwą, i to na terenach niekoniecznie bardzo sprzyjających, bo górzystych częściowo, a wszędzie kamienistych. Gleba nie musi być zła, bo wszędzie były buraki cukrowe, ale wogóle plony, jakie jeszcze stały na polach, t. j. konicze nasienne, buraki i kartofle, gorsze niż u nas. Widocznie dobra ustawa łowiecka, długie lata racyonalnej gospodarki myśliwskiej, brak drapieżników, złożyły się na to, że zwierzostan tak wysoki. A były to z wyjątkiem Schackenwert same gminne polowania, co prawda w dobrych rękach, po 1000 do 2000 morgów.

Sposób polowania bardzo prosty. Szliśmy czterej ławą, każdy miał po obu stronach chłopaka do noszenia ubitej zwierzyny i naboi, każdemu z nas dodano psa do aportowania. Szliśmy w odstępie stu kroków od siebie, luki wypełniali chłopcy, nasi posługacze. W owej porze, rwały się kuropatwy bardzo daleko, osobliwie na rolach i słabych koniczach, to mi dało jednak sposobność do podziwiania doskonałej broni i celnych strzałów naszych gospodarzy. Na odległości, w których my dwaj goście z Galicyi aniśmy się próbowali składać, oni robili dublety, nie zawsze, ale dość często. Zaś kuropatwy, które się zerwały w granicach do 80 kroków, padały z absolutną pewnością. Zaraz na pierwszym przystanku prosili nas gospodarze, abyśmy nie żałowali naboi, ani się bali dalekich strzałów, a to dla tego, że przestraszone strzałami i gwizdaniem śrutu kuropatwy, po zapadnięciu lepiej dosiadują. Goniliśmy więc te kuropatwy przed sobą, co raz dalej, aż do góry zarosłej trawą i tarniną, u podnóża której było kilka łanów kilko i kilkunastu morgowych buraków i kartofli, gdzie już i my obaj zaczęliśmy gęsto strzelać z nie gorszym skutkiem, jak Niemcy. Mnie specyalnie ogromnie deranżowało strzelanie pod samem miastem, w ogrodach, wśród uwijających się ścieżkami cyklistów i wozów po drogach, nie brakło też i automobilów. I w takiem środowisku, rwały się kuropatwy stadko za stadkiem, zające pomykały z pod każdego krzaczka — niemal z pod każdej miedzy. Te zające najbardziej mnie denerwowały, nie wolno było ich strzelać, a było ich tyle, że pomykając na wszystkie strony, przeszkadzały nam bardzo, płosząc ustawicznie kuropatwy. W tych kilku rewirach, w których polowaliśmy, padło już było w każdym z początkiem sezonu po 1500 — 2000 kuropatw, mimo tego jednak zabijaliśmy jeszcze mimo spóźnionej pory w 4 do 6 strzelb, co prawda dobrych, po 130 do 200 kuropatw dziennie.

Psy tamtejsze, służą raczej tylko do aportowania, mniej zaś do wyszukiwania i wystawiania zwierzyny. Są znakomicie tresowane, na świstawkę z groszkiem kładą się, na świstawkę bez groszku wracają natychmiast, są bardzo karne, na zające najkompletniej obojętne, we wodzie pra-

cują wzorowo. Są to prawie bez wyjątku psy staroniemieckie, zwane niesłusznie rasą czeską, bo takiej rasy nigdy nie było osobnej, bardzo brzydkie, często więcej do buldogów podobne, niż do wyżłów, ze zupełnie krótkimi nosami, ale bardzo pilnie i systematycznie szukające przy aportowaniu, czem do pewnego stopnia wynagradzają brak nosa. W naszych warunkach, byłyby te psy nie do użycia, tam jednak, przy nadzwyczajnej ilości zwierzyny, dla swej niezrównanej flegmy i bezwzględnego apelu, są zupełnie na miejscu. Widziałem tam jednego psa, potomka sławnego Tellusa von Freudenthal, który był zgłoszony do popisów w Reichenbergu za parę dni odbyć się mającego. Pies ten wzorowo tresowany, ale z lichym wiatrem, dostał trzecią nagrodę; w Przeworsku byłby z pewnością nie dostał żadnej. To zupełnie inny materyał niż w Niemczech. Nie twierdzę, aby i w Czechach nie było dobrych psów, n. p. w Saaz gdzie klub miejscowy urządza corocznie popisy, widziałem kilka wcale dobrych psów, ale wieie ich niema, może właśnie dla tego, że mnogość zwierzyny czyni psy z doskonałym wiatrem mniej potrzebne.

Przychodzę teraz do spraw naszego klubu. Odbyta próba w Przeworsku była niejako przeglądem naszych sił. Pokazało się, że jest w kraju kilku hodowców, że mamy w kraju doskonałe settery p. Towarnickiego, który sam się stara o reproduktory za granicą. Mamy oprócz tego kilka dobrych psów rasy nowo-niemieckiej w rękach dobrych treserów. Jednakowoż nie mamy ani jednego reproduktora tej rasy, gdyż jeden jedyny niezły Troll p. Stanslickiego w Kuńkowcach zginął niedawno, a Bekas p. Obmińskiego z Łętowni za młody, a nadto pochodzący od jedynych w Galicyi suk nowo-niemieckich (jako syn i wnuk) do pokrywania ich użytym być nie może.

Nie możemy na to liczyć, aby który z hodowców mógł kupić psa wysokiej klasy w celach hodowlanych, gdyż koszt to znaczny i brak czasu i sposobności do wyjazdu za granicę na poszukiwanie takiego reproduktora. Posyłać sukę do pokrycia za granicę, nie miałbym odwagi, po zrobionej jednorazowej próbie, skoro się przekonałem, że niemcy za drogie pieniądze puszczają byle jakiego kundla; dobrze że choć suka nie przepadła.

Jeżeli więc nasz klub nie zdecyduje się na kupno psa zupełnie dobrego i wypróbowanego, w takim razie nie widzę możności, aby się u nas chów psów rasowych mógł rozwinąć. Jedyny na to sposób, kupić w najkrótszym czasie z funduszów klubu doskonałego psa, umieścić go jako własność klubu u któregoś ze znanych hodowców, członków klubu i włożyć nań obowiązek, ażeby pewną ograniczoną ilość suk czystej rasy do pokrycia owym psem, przyjmował po cenach umiarkowanych, przez wydział klubu oznaczonych.

Pieniądze miałyby być składane w wydziale klubu, a interesowany dostawałby markę, z którą by się do utrzymującego reproduktora zgłaszał. Hodowca reproduktora dostawałby jakieś relutum w gotówce z owych taks, albo też po pewnym czasie przechodziłby reproduktor na jego nieograniczoną własność. Jednocześnie należałoby nabywać pieski w renomowanych psiarniach i szczenięta te dawać członkom klubu, znanym treserom. Z ceny uzyskanej za psy gotowe, dostawaliby ci treserzy — hodowcy odpowiednie wynagrodzenie, byliby zaś obowiązani wydziałowi klubu zwracać cenę kupna szczeniąt, czyli innemi słowy, hodowcy otrzymywaliby różnicę wartości między ceną kupna szczenięcia a ceną uzyskaną za psa gotowego. W ten sposób mielibyśmy w przeciągu kilku lat psy rozmaitych rodów, jako odpowiedni materyał hodowlany i myśliwi mieliby możność nabywania do swego użytku gotowych psów, wypróbowanych na popisach krajowych Początek jednak musi być zrobiony z psem gotowym, zupełnie pewnym, pierwszoklasowym, aby nie czekać zbyt długo na odpowiedniego reproduktora, a zresztą przynajmniej w pierwszej chwili rozpoczynającej się hodowli, musi się mieć pewność, że się ma doskonałego reproduktora, gdyż szczenięta, które dopiero po latach dają możność ocenienia ich wartości, są zbyt mało pewnym materyałem hodowlanym, choćby miały nie wiem jakie rodowody.

Jeżeli się klub nasz na ten krok nie zdecyduje, tj. nie kupi reproduktora pierwszej klasy, w takim razie niema co myśleć o racyonalnym chowie psów, nie wiem bowiem, czy jest wogóle w kraju jaki rasowy pies nowo-niemiecki, przynajmniej w Przeworsku go nikt nie pokazał, więc przypuszczać wolno, że go niema.

Nie ma więc innego wyjścia, tylko musi nasz klub zakupić reproduktora wysokiej klasy, premiowanego na popisach i wystawach, kosztem 1500 — 2000 marek, aby stworzyć możność chowu psów rasowych. Nie jest to wcale myśl nowa, gdyż nawet tam, gdzie psów dobrych bardzo dużo, jak np. w Niemczech, kluby może mniejsze niż nasze, kupują psy dla swoich członków, a nadto rozlosowują corocznie szczenięta między uboższych członków, zawodowych strzelców i leśników niższej kategoryi. Temu tylko zawdzięczają, że chów psów myśliwskich u nich tak wysoko stanął. Oprócz tego, kluby przestrzegają w organach swoich przed używaniem podejrzanych reproduktorów, ogłaszając że potomstwo ich nie uzyska prawa wpisu do ksiąg rodowodowych, a przy wszystkich wystawach i popisach w wystawionych świadectwach mieści się cenzura wartości hodowlanej właściwego psa (Zuchtwert).

Kluby niemieckie nie tylko się starają o materyał hodowlany dla swoich członków, ale dają także cenne wskazówki co do kierunku hodowli.

Tymi samymi względami powinno się i nasze towarzystwo kierować, fundusze potrzebne może już są, a gdyby ich nie było, rzeczą jest wydziału o nie się u członków upomnieć. Inaczej nie będzie nigdy psów rasowych myśliwskich, a więc i klub nasz straci racyę bytu.

Kazimierz Remiszewski
delegat Rawski.

Z okolicy Przeworska.

Jaki był w minionym sezonie myśliwskim stan zwierzyny w innych okolicach — nie wiem, gdyż nigdzie prócz w mojej okolicy nie polowałem. U nas ubytek zwierzyny był i jest wielki. Może się do tego przyczyniły powodzie, które nas w lecie w r. 1906 nawiedziły. Jadąc do Przeworska przez wieś Rożniatów — sam na własne oczy widziałem przy drodze utopionych 5 sarn, 2 zające i 1 borsuka. Żyto było bardzo bujne, prawdopodobnie więc cewki sarnie zaplątały się w słomę i nie mogły biedaczki uciec przed powodzią. Pamiętam doskonale powódź w roku 1867 — wtedy byłem już chłopcem 16-to letnim — widziałem zniszczenie w plonach, jakie powódź porobiła, widziałem powyrywane mosty, progi poprzerywane i poznoszone, ale coś podobnego — co się w lecie w r. 1906 działo — to tylko ten może sobie wyobrazić, kto na to patrzał własnemi oczami. Mam odrębny kawałek ziemi, który był zalanym w r. 1867 na przestrzeni 4 morgów — w roku 1906 był cały (50 morgów) tak zalanym, iż bydło mego dzierżawcy

w stajni stało po brzuchy w wodzie. Mojem zdaniem była to największa w naszej okolicy powódź — jaką najstarsi ludzie pamiętają. Jakżeż więc wobec takiej klęski mogła się zwierzyna na polach utrzymać? Przez październik, listopad i aż do 12. grudnia były takie błota, iż o polowaniach polnych w jakie okolica nasza obfituje — nawet marzyć nie można było. 12. grudnia na niezamarzniętą ziemię spadł pierwszy śnieg i po nim chwycił w tej chwili silny mróz, który z małemi odmianami do końca marca trzymał. Śniegi spadły prawie na 1 metr wysokości. Biedną zwierzynę musiało się z ręki karmić, a na polowaniach nagonka ledwie się w tych śniegach poruszać mogła i pędziła tylko tę zwierzynę, którą własnemi nogami wydeptała, jeżeli zaś która sztuka ze zwierzyny cofała się na nagonkę, nie było siły jej powstrzymać, gdyż naganiacz ze śniegu wybrnąć nie mógł. Wskutek błot i braku mrozu nasz sezon myśliwski zredukował się z 4 miesięcy na 6 tygodni, a względnie mniej. Zaczynam od polowań polnych. Takie śliczne polowanie, jak n. p. w Gączynie, u p. Stefana Preka 5. stycznia b. r., gdzie pada zwykle około 100 zajęcy, ze 4 rogacze i 1 lub 2 lisy, dało w tym roku na rozkładzie 49 zajęcy i nic więcej. Sarny były widziane, ale się z miotów wcześnie przez nagonkę przebiły. Właściwie zaczęliśmy polowania od Nowego Roku, więc i ogólny rezultat nie mógł być -- przy skromnej ilości polowań i często niełaskawych niebiosach — świetnym.

N. p. w tym sezonie na dniu 31. grudnia, drogi pozadymane, zadymka w same oczy taka, iż świata nie widać, mimo to stawiliśmy się na polowanie polne u p. Franciszka Łastowieckiego, w Rozborzu w 8 strzelb. Ja to polowanie prowadziłem. Jeden z myśliwych, nie znający terenu, radził by brać pola kociołkami, na co odemnie otrzymał odpowiedź, iż go się o to po pierwszym miocie zapytam. Pierwszy i ostatni w tym dniu miot wziąłem. Z miotu nagonka nie mogąc nadążyć w tych głębokich śniegach, uciekła nam tak do domu, iż tylko 12 doszło do linii myśliwych — zaś amatora kociołków puściłem drukierem na flankę, na Nr. 1. Po przejściu tego miotu, już nie miał ochoty polować w kociołkach, a nawet pierwszy wotował za powrotem pod gościnny dach gospodarza. Ale bo tu czas okropny, zamiast 120 chłopców, wyszło o 11 w południe 34, a i lwia część z nich, jak wyżej opisałem, z miotu uciekła Na rozkładzie pokazywano nam 1. zająca, który poległ z ręki amatora kociołków. Zadymka była tak szalona, iż wszyscy musieliśmy w Rozborzu przenocować. Jednakowoż uprzejmy gospodarz nie dał za wygrane i na dzień 15. stycznia b. r. ogłosił nowe polowanie, na którem w 9 strzelb padło 21 zajęcy i 1 lis. Zwierzyny widzieliśmy dużo, i rozkład byłby był podwójnym, gdyby nie to, że pod nogami mieliśmy wodę, a w dodatku południowy wiatr był tak silnym, iż podeń patrzeć było niemożliwem. Tu się zwrócić muszę do poprzedniego mego twierdzenia. Taki sam czas mieliśmy na polowaniu na polach Siedleczka, Kańczugi, Niżatycz, własności p. Kazimiry Kellermanowej, gdzie w 10 strzelb zabiliśmy 32 zajęcy. Tu wszyscy myśleli, iż lada chwila z pola wrócimy i przestaniemy polować, ale od czegoż wytrwałość, od czegoż my starzy myśliwi. Jesteśmy przecież na to, aby młodych w tym szlachetnym kunszcie zaprawiać, aby ich nauczyć po myśliwsku znosić wszystkie trudy i niewygody. Młodzi więc widząc, iż my starzy przed żadną trudnością się nie cofamy, szli za naszym przykładem i tak dotrwali do końca polowania. Swoją drogą nie jednemu ze zimna łzy w oczach stawały, ale wytrzymał.

Taki sam czas, jaki w Rozborzu i Kańczudze, był na polowaniu w Łopuszce małej, u p. Władysława Pogonowskiego. W 16 strzelb na rozkładzie 37 zajęcy. Wszyscy myśliwi, którzy wieczór z pól popowracali, wyglądali jak jedna bryła lodu. Ale od czegoż humor myśliwski, jeden, drugi, trzeci, coś tam zadowcipkował i zaraz wśrod drużyny myśliwskiej inna ochota powstała.

Śliczne polowanko mieliśmy na dniu 10. stycznia b. r. w Mikulicach u p. Jerzego Turnaua. Dzień ładny, tylko pod nogami mokro. Zjechało się 12-stu a rozkład pokazał 60 zajęcy. Padłoby było znacznie więcej, gdyby naganka lepiej chodziła. Ale nie wytresowana, bo tylko chodzi raz do roku, w dodatku nieposłuszna, do tego doprowadziła, iż wszyscy myśliwi wieczór z polowania zachrypnięci popowracali.

Na dzień 12. stycznia było u mnie zapowiedziane polowanie. Na pewnych 9 myśliwych, których bezwarunkowo mieć muszę, aby w polnych drukierach stanowiska obstawić, zjechało się 8. Pomagałem sobie, o ile mogłem w ten sposób, iż nagonkę stawiałem na stanowiskach, jako fałszywych myśliwych bez strzelb, ale to nic nie pomogło, bo nie miał kto strzelać, a mioty ogromne, przeciętnie po mniej więcej 500 morgów. Jestem tego zdania, iż ustawa łowiecka, która mówi, iż od 1. grudnia kuropatw strzelać nie wolno, powinna się zastosowywać do tych miejscowości, gdzie się w jesieni na nie z legawym psem poluje, bo proszę, ja sam nigdy w jesieni na kuropatwy nie chodzę, a mam ich mniej więcej 15 stad. Jeżelibym tu zważał na ustawę, i na wielkiem zimowem polowaniu do nich strzelać nie pozwolił, tobym nigdy kuropatwy zabitej, pomimo wielkiej ich ilości nie widział. Na polowaniu pozwoliłem myśliwym strzelać do kuropatw, ale tylko wtedy, gdy już płyną w powietrzu i to śrutem nr. 2, 4 lub 6. Strzałów do kuropatw było dużo, zaś na rozkładzie leżała tylko jedna, jedyna kuropatwa oraz 16 zajęcy.

Na tem polowaniu kończą się nasze polne polowania. Przez lat 12 za życia ś. p. Władysława Bzowskiego, mieliśmy w tutejszej okolicy Towarzystwo myśliwskie Kańczucko-Pruchnickie, którego nieboszczyk był prezesem. Po zawiązaniu tego Towarzystwa, stan zwierzyny był bardzo opłakanym, gdyż kłusownicy całą zwierzynę niszczyli. Prowadzę zapiski myśliwskie od roku 1874 i z nich się dowiaduję, iż w pierwszym i drugim roku polowań na 120 nagonki i 15 myśliwych, padał jeden, jedyny zając. Jak się zaczęło zwierzynę pilnować, trzech dozorców ciągle po polach latem i zimą chodziło, powyłapywali kłusowników, strzelali i zabijali za wynagrodzeniem strzałowego psy, koty. wrony, sroki i jastrzębie, gdy zwierzyna uczuła opiekę nad sobą, stan jej tak się wzmógł, iż przy końcu istnienia Towarzystwa, na tych samych terenach, przy tej samej ilości nagonki i myśliwych, padało po 60 zajęcy i wyżej. Od czasu rozwiązania Towarzystwa, stan zwierzyny trochę już zmalał, kłusownicy zaczynają na nowo swoje rzemiosło. Ptaki, psy, koty dużo jej bardzo niszczą, a w dodatku tegoroczna silna zima i przeszłoroczne powodzie, wytępią ją do reszty tak, iż w nadejść mającym sezonie myśliwskim nie będzie nawet co strzelać i sądzę, iż nasze tegoroczne polowania polne, będą się musiały ograniczyć tylko do najlepszych terenów. Tymi dniami dowiedziałem się, iż sąsiedzi na wzór starego, chcą zawiązać nowe Towarzystwo myśliwskie, co daj Boże, żeby do skutku doszło, gdyż będąc członkiem takiego Towarzystwa, lub też gościem, można żyłkę myśliwską za

spokoić i dobrze się zabawić. Dodać muszę, iż tak jak w poprzedniem Towarzystwie, tak i w nowem, przy racyonalnem gospodarstwie, stan zwierzyny znacznie się podniesie.

Teraz przechodzę do leśnych polowań. Na miniony sezon były zapowiedziane cztery polowania. z tych jedno, dla niewiadomych mi przyczyn, do skutku nie doszło, spolowaliśmy więc tylko trzy rewiry. Przez cały czas tych polowań były głębokie śniegi. Wskutek tego ciągła była walka z nagonką, która na polowania wychodzić nie chciała do tego stopnia, iż za czas od godziny 10-tej rano do 4-tej popołudniu płacono chłopakowi po jednej kororonie i w dodatku na 10 chłopaków wychodziła ledwie połowa, a nawet i mniej. W miotach służba lasowa miała z nimi ciągle do czynienia, by szli równo i ławą, a nie jeden za drugim, a w dodatku okiść na wszystkich tych 3 polowaniach utrudniała dozór, a myśliwym strzał. Zwierzyna tylko nadeptana wychodziła, a reszta, albo nieruszona w miotach zostawała, lub się też na nagonkę cofała. Czas na tych polowaniach mieliśmy znośny, a nawet, jak na polowaniu odbytem w Hadlach 28. stycznia b. r. własności p. Piotra Łastowieckiego, mimo dość silnego mrozu dzień był słoneczny. Strzelb 11. Po skończonem polowaniu na rozkładzie 1 rogacz, 2 lisy, 15 zajęcy. Teren górski, zajęcy tam zawsze bywa nie dużo, ale zato sarn i lisów dosyć. Dziki są gniazdowe, były w kilku miotach spodziewane, ale ich tego dnia w lesie nie było. Las jest poprzerzynany łąkami, gdzie w lecie sarny mają ładną i zdrową paszę i widuje się ich pasących się tam do 100 sztuk. Prócz tego jednego rogacza była także widzianą i koza, gdzie się zaś reszta sztuk podziała, nie mogliśmy się dowiedzieć, gdyż nawet gospodarz w głowę zachodził, co co się z sarnami stało.

Analogiczny z Hadlami teren ma las w Lipniku. Pada tam zwykle do 30 zajęcy, 4—5 rogaczy i 5—6 lisów, tymczasem w tym roku na polowaniu odbytem 30. stycznia b. r. u p. Zygmunta Łastowieckiego w 6 strzelb, rozkład nas nie ucieszył, gdyż wszystkiego leżało 14 zajęcy. Lisa ani jednego nie widzieliśmy, ze sarn tylko jedną kozę, która ciągle po lesie chodziła i we wszystkich miotach nam się pokazywała, przy końcu zaś polowania tak była zmęczoną, iż ledwie szła. Gdzież się znowu z tych lasów sarny podziały?

Bardzo ładny, a nawet śmiało twierdzić mogę, za wysoki jest stan sarn w ordynacyi Zarzecze. Może tam być w 800 morgów lasu 200—250 sztuk stałych, ale tej ilości jaka się w tym roku na rzepaku pasła, nawet sobie wyobrazić trudno. Rudle chodziły po 70—80 sztuk, a ogół wynosił około 500 sarn. Też robiły takie wrażenie, jakby kto z trzech, mających po tysiąc morgów, folwarków, na to pole zgonił cały żywy inwentarz. Rzepak leży niedaleko drogi, można je było, jadąc, dokładnie obserwować. Jedne stały, drugie leżały, inne chodziły i pasły się a jadący z dzwonkami drogą, tak ich nic nie obchodził, iż nawet na niego uwagi nie zwracały i tylko niektóra z ciekawości łebek podniosła, aby popatrzeć, co tak brzęczy na drodze Sądzę, iż z górskich, lasowych terenów dla braku pożywienia całkiem się wyniosły, i zimowały na dolinach, gdzie się o paszę troszczyć nie potrzebowały, a na tę myśl naprowadza mnie to, iż w górskich rewirach na polowaniach prawie sarn nie widzieliśmy, gdy przeciwnie na dolinach stan ich znacznie się wzmógł.

Na zakończenie sezonu myśliwskiego, by nam po nim miłe zostały wspomnienia, w dniu 31. stycznia b. r. polowaliśmy w lasach Sietesz, własności p. Maryi Łastowieckiej w 8 strzelb. Rozkład ładny, 2 rogacze i 33 zające. Wskutek za małej ilości myśliwych, boki miotów źle poobstawiane i tędy się dużo szaraków bez strzału wymknęło. Śniegi głębokie i jak zwykle w tym sezonie brak nagonki, a w dodatku okiść stale nas w polowaniach lasowych prześladująca, utrudniały polowanie.

Mykita może tutaj z radością ten dzień wspominać, ale nie wiem, czy jego szczęście, czyli też nieszczęście w tym dniu myśliwych prześladujące, czyli okiść, czyli też zgorączkowanie zrobiły to, iż na 10 strzelanych lisów, nie padł ani jeden, mimo to, iż wszyscy tam obecni myśliwi są dobrymi strzelcami, a na świadectwo ich celnych strzałów niech posłuży ten fakt, iż z miotu zwanego „Zajęcza góra“ na 11 strzałów, wyniesiono 11 zajęcy. Ja sam stojąc w pierwszym miocie na stanowisku, przed sobą ani też za sobą nic nie widziałem, zaś linia mająca 5 sążni szerokości wyglądała jak jaka wąska, polna ścieżka. Miałem przed sobą w okiści okienko i przez nie widziałem idącego na mnie lisa — stoję więc przygotowany do strzału na to miejsce, gdzie prawdopodobnie lis wyjść był powinien, raptem o jakie dwadzieścia kroków dalej od tego miejsca mykita przeskakuje wolną od okiści przestrzeń. Podniosłem strzelbę do oka i strzeliłem, ale już zwierza nie widząc. Śruty na śniegu wskazały mi, że prawdopodobnie lis ze strzału wyskoczył. Tak samo musiało się dziać i innym myśliwym. Na te lisy mieliśmy jeszcze w lutym zapolować, ale nie wiem, dlaczego ta prawdziwa biesiada myśliwska do skutku nie doszła.

Na tem kończę opis polowań w naszej okolicy z tym dodatkiem, iż prawie ciągle jeżdżąc drogami, lub też chodząc po polach, tropów zajęczych bardzo mało widuję, a kuropatwy prawie się nie pokazują, boję się więc czy tegoroczna ostra zima, głębokie śniegi oraz drapieżne ptaki, nadto czworonożne i dwunożne rabusie, tych dwóch gatunków zwierzyny nam nie wyniszczyły.

Z. W.

Strzałkowce, 25. marca 1907.

Jeszcze parę kwiatków dołączam do wieńca wspomnień sezonu zimowego. Jeszcze jako dziecko wyobrażałem sobie serce jako domek, w którym każda osoba, każdy przedmiot ukochany ma swój większy lub mniejszy pokój. Jedną z największych komnat zajmują wspomnienia myśliwskie; wiszą tam one w postaci wieńców na ścianach: są tam duże i małe — kwiaty w nich od najwspanialszych do najskromniejszych — a każdy kwiatek uprzytomnia mi jedną chwilę, jeden epizod z życia myśliwskiego — a kwiaty każdego sezonu zebrane w wieniec i splecione szarfą, której kolor każdoczesną szatę lasu, lub pola oznacza. Wiszą pomiędzy wieńcami szczególniej ukochane przezemnie trofea i bronie, wiszą tam szczególniej w pamięci wyryte obrazy z przeszłości, by płaskorzeźby lub freski cudne. Ilekroć zajrzę do onej komnaty, chciałbym ściany jej rozszerzać i coraz cudniejsze skarby w niej gromadzić.

Tymczasem dorzucimy parę kwiatków skromnych, a mówiąc po ludzku wspomnijmy o kilku jeszcze polowaniach:

17. stycznia w Drohomyślu w 13 strzelb zabiliśmy 85 zajęcy, 3 koty i 2 lisy,

22. i 23. stycznia polowaliśmy w 6 strzelb u ks. Andrzeja Lubomirskiego w Przeworsku, jeden dzień w ba-

żantarniach a drugi dzień w polu. 25° mrozu i wiatr silny, przyczem naturalnie brak nagonki złożyły się na słaby rezultat: 26 bażantów i 185 zajęcy. Królem hr. Paweł Dzieduszycki mając 47 sztuk,

29. stycznia w Martynowie w 13 strzelb zabiliśmy 3 kozy, 8 lisów i 30 zajęcy.

31. stycznia w Poddębcach padło 18 kozłów, 2 lisy, i 16 zajęcy. Śliczny widok, jak w starym sosnowym lesie sarny ogromnymi rudlami uwijały się w każdym miocie; rzadko gdzie tak wielką ilość sarn się widzi.

Po odbyciu tych kampanii złożyłem strzelby w zbrojowni i aż do teraz jedyną rzeczą do zanotowania jest chyba to, że w Wenecyi widziałem słonkę i dużo dzikich kaczek najrozmaitszych odmian na targu... Wróciwszy tymi dniami do domu, siadłem na konia, aby zobaczyć co w lesie słychać. Podobno ginie i ginie zwierzyna w całej Galicyi, wszyscy przynajmniej na to narzekają. Objechałem więc cały rewir Piszczatyńce: i przy liniach i wewnątrz miotów tryzuba koło tryzuby ze świeżą koniczyną — tu i owdzie legowiska ze słomy, tu i owdzie wiązka grochu lub wyki a gęsto bieleją się poobgryzane osiki, które się ścina i rozwozi. Lizawki mają bajeczne powodzenie, co poznać ze ścieżek, a raczej gościńców, do nich wydeptanych a w koło budek pełno tropów bażancich i kuropatwich. Sarn też widziałem dużo, wszystkie zdrowo i ładnie wyglądają; jednego kozła zjechałem na 20 może kroków, leżał sobie pod tryzubą i zajadał koniczynę, rogi w baszcie ładne i wysokie. Zapytałem się go o zdrowie i powodzenie, na co dostałem odpowiedź, że jest zdrów i dobrze mu się powodzi, jak również i innym jego współziomkom sarniego rodu, tylko zimno dokucza. Pocieszyłem go, że wiatr zmienia się na południowy i lada dzień śniegi znikną a jedzenie dostawać będzie przynajmniej do połowy kwietnia, przestrzegłem go przed świeżą oziminą, kiwnąłem mu ręką i ruszyłem dalej. Zajęcy widziałem mnóstwo; marcowy lęg przepadł, ale stare zdrowo się trzymają i wyprawiają różne psikusy p. Welenowskiemu, włażąc do budek i w niebardzo cywilizowany sposób wyrażając swoje oburzenie na małą ilość kukurydzy, przeznaczonej dla bażantów. Bażantów burknęło mi kilka z pod nóg, między innymi wspaniały srebrny kogut zerwał się z takim wrzaskiem, że ledwo klacz swoją utrzymałem. Raport też p. Welenowskiego brzmiał, że zginęło 8 sztuk sarn i to tych najsłabszych od mrozu, zresztą wszystko zdrowe, jak również i zające i bażanty. Swoją drogą dużo wydano na żywienie a Piszczatyńce to najlepszy i najtroskliwiej pilnowany nasz rewir, który w przyszłości powinien wziąć rekord Podola. Nie wiem jak się mają rzeczy gdzieindziej a śnieg miejscami taki, że koń po pierś mi się zapadł i do Wołkowiec za parę dni dopiero będę mógł się dostać, aby o stanie zwierzyny się przekonać.

Wracałem potem do domu; słońce właśnie spuszczało się nad ciemne lasy Bilczeckie. Po lewej ręce miałem równinę białą, bez żadnej plamki ciemniejszej, ciągnącą się hen... hen... bez końca — parę tylko punktów wyższych, to kurhany, a całkiem na horyzoncie błękitny brzeg Dniestru, od którego to brzegu, od murów Chocima i stepów Bessarabii ciepły wietrzyk powiewał. Błękit powoli od Dniestru przesuwał się ku mnie — ogarniał białą płaszczyznę śniegową, ogarniał kurhany a takim jakimś czarem tęsknym napełnił wszystko, żem musiał gwałtownie zwrócić się na prawo. Tu ciemne ściany jarów i lasów nadawały ostry charakter obrazowi, drzewa, nagie skały a w jarach wsi czerniły okolice, a całkiem na horyzoncie góra wyższa od innych, na której mury i baszty zamku Wysuckiego, krwawo oświetlone ostatnimi blaskami niknącego słońca. Z czego konkluzya: „Jeżdżę co dzień konno i... czekam słonek!“ *C. C. G.*

Janów koło Lwowa w marcu 1907.

Od kilku tygodni krążyły ciągle w całej okolicy różne historyjki o grasujących wilkach, i rzeczywiście ślady sam kilkakrotnie napotykałem, zupełnej jednak pewności co do autorstwa tychże nabrać nie mogłem z powodu głębokiego i sypkiego śniegu.

Pewnego dnia, w pierwszych dniach marca, doniósł mi leśniczy, iż strażnik lasowy Kurz, przy tropieniu wszedł na wilka, który w oddaleniu kilku kroków od drogi w drągowinie leżał.

Dnia 24. bm., donosi leśniczy, iż w rewirze Horyszna otropiono wilka; popołudniu zatem w 7 myśliwych i 16 nagonki wyruszono.

Ponieważ przy pierwszem tropieniu ograniczono się na bardzo wielkim miocie, zatem po ustawieniu myśliwych i nagonki, otropiono miot na połowę, a wtedy nagonka po przesunięciu się ruszyła.

Po upływie kilkunastu minut przekrada się zwierz gąszczakiem — pada strzał — na sygnał gromadzą się myśliwi i ku ogólnemu zdumieniu widzą potężną rysicę, bo o wadze 28 klgr., wysokości na przedniej łopatce 80 ctm., a długości 116 ctm.

Rysica ta zdobić będzie zbiory Wojciecha hr. Gołuchowskiego.

Że szkody w sarnach zrządzone w okolicy przez niezwykłego gościa są znaczne, wnoszę z opowiadania sąsiadów, u których znachodzono resztki nieskonsumowane a jak doniesienia personalu lasowego opiewały, pozostawione przez wielkiego psa.

Największe szkody będą w Lelechówce, gdyż ryś tam najczęściej przebywał.

W. Piotrowski
deleg.

Łańcut, 2. kwietnia 1907.

W załączeniu przesyłam wykaz zabitej zwierzyny *na polach* Ordynacyi Łańcuckiej w roku *1906*. Rok zeszły 1906 okazał się dla rozmnoży zwierzyny bardzo niekorzystnym, zaś dla (zwierzyny) bażantów i kuropatw szczególnie złym, wskutek bowiem nadmiernej wilgoci i ciągłych deszczów, bażanty prawie zupełnie u nas przepadły, zaś kuropatwy i przepiórki bardzo ucierpiały. Tegoroczna nadto zima tak obfita w śniegi, i tak niebywale ostra i zimna, reszty zła dopełniła, bo co z lata poprzedniego jeszcze uchowało się i pozostało, w zimie do reszty wyginęło i przepadło, tak, że i na rok bieżący nie można robić sobie dobrych nadziei. Trzeba będzie odmówić sobie przyjemności polowań i zupełnie tego roku zaniechać podjazdów na rogacze, i polowań na zające, kuropatwy i bażanty, aby w ten sposób dać możność zwierzynie przyjścia do siebie i ją do porządku i do należytego stanu doprowadzić.

Zwierzyny zato błotnej było tego roku o wiele więcej niż po inne lata i myśliwy, chociaż częściowe mógł mieć zadowolenie i znaleźć mógł prawdziwą przyjemność w polowaniach błotnych.

Wykaz ubitej zwierzyny na polach Ordynacyi Łańcuckiej w roku 1906:

Zwierzyna pożyteczna: Rogaczy 38, zajęcy 887, bażantów 1117, kuropatw 408, przepiórek 15, chróścieli 47, dubeltów 38, kszyków 264, słonek 2, kawek 792, gęsi 7. Razem 3.615.

Zwierzyna szkodliwa: Lisów 55 psów 278, kotów 462, łasek 266, tchórzów 48, kun 6, borsuków 5, wiewiórek 67, bocianów 113, jastrzębi 97, krogulców 99, orzeł 1, wron i srok 1785. — Razem 3620. — Ogółem 7.235 sztuk.

Wł. Lewicki.



Program i regulamin

popisowego strzelania, urządzonego przez Towarzystwo myśliwych w Rzeszowie dnia 15-go czerwca 1907 r. punktualnie o godzinie 2 popołudniu na strzelnicy wojskowej.

I. Strzelanie z rewolwerów na 25 kroków o dwie nagrody.

II. Strzelanie kulami do tarcz stałych (rogacz), na odległość 100 kroków o trzy nagrody.

III. Strzelanie kulami do tarcz ruchomych, mianowicie do dzika, na odległość 80 kroków o trzy nagrody.

IV. Strzelanie śrutem do tarcz ruchomych, mianowicie do zająca, na odległość 50 kroków o trzy nagrody.

V. Strzelanie do krążków glinianych o trzy nagrody.

---

§ 1. Do udziału w strzelaniu są uprawnieni członkowie Towarzystwa myśliwych w Rzeszowie, członkowie i delegaci galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego i osoby przez komitet zaproszone.

§ 2. Zgłoszenie do każdego z wymienionych rodzajów strzelania, ma nastąpić najpóźniej na 30 minut przed rozpoczęciem strzelania. Zgłoszenia i wpisowe przyjmuje komitet na miejscu urzędujący.

§ 3. Wpisowe do każdego rodzaju strzelania wynosi 3 korony.

§ 4. Każdy ze strzelających może używać własnej broni myśliwskiej, tj. strzelb i sztućców, z wyjątkiem sztućców tarczowych, z lunetami i gukierami. Przy strzelaniu ad I. wolno używać tylko rewolwerów dowolnego systemu. Dla uczestników nie mających broni własnej, będą do użytku karabinki Mannlichera i rewolwery wojskowe.

§ 5. Przy strzelaniu ad I., II., i III. daje każdy ze strzelających 5 strzałów, bezpośrednio po sobie następujących.

Przy strzelaniu ad IV. i V. strzela każdy, raz po raz, do 5 zajęcy, względnie do 5 krążków.

§ 6. Strzelanie odbywa się tylko z wolnej ręki,

§ 7. Porządek, w jakim uczestnicy przy każdym rodzaju strzelania po sobie następują, będzie ten, w którym do właściwego rodzaju strzelania zapisali się.

§ 8. Suma uzyskanych punktów rozstrzyga o celności strzałów. Kula trafiająca dwa pola, będzie liczoną na korzyść strzelającego, chociażby pole o wyższej cyfrze tylko zaczepiła. Do zająca, względnie krążka chybionego z jednej lufy, wolno dublować. Przy równej ilości trafionych zajęcy (krążków) decyduje ilość strzałów.

Zauważy się, że każdy krążek musi być rozbity w locie.

§ 9. Jeżeli broń zawiedzie, może być strzał powtórzony.

§ 10. Strzał dany wbrew przepisom regulaminu, uważa się za chybiony.

§ 11. Przy strzelaniu do tarcz ruchomych, przedstawiających zwierzynę, wolno złożyć się do strzału przed ukazaniem się zwierza.

§ 12. Początek zapisywania się do każdego strzelania, oznajmi głos dzwonka.

§ 13. Komitet urządzający strzelanie, zastrzega sobie prawo ewentualnej zmiany programu, względnie zmniejszenia lub podwyższenia liczby nagród, stosownie do liczby uczestników.

§ 14. O przyznaniu nagród, jakoteż we wszystkich spornych kwestyach, decyduje wyłącznie i nieodwołalnie sąd rozjemczy.



KRONIKA

Polowanie na bizony w Tatrach. Przed kilku dziesiątkami lat sprowadził książe K. Hohenlohe do swoich obszernych rewirów w węgierskich Tatrach amerykańskie bizony, które się z trudnością, ale wcale poważnie tam rozmnożyły. Z okazyi pobytu tamże arcyksięcia Fryderyka z małżonką arc. Izabellą i dziećmi, urządził książe Hohenlohe w bieżącym roku polowanie. Dnia 8. lutego po 2 godzinnej jeździe saniami, przy ślicznej pogodzie, dojechało dostojne towarzystwo do Jaworzyny, gdzie stoi śliczny zameczek myśliwski. Po krótkim odpoczynku wzięto miot, gdzie dwa bizony otropiono. Po kwadransie gonu, wypadły owe bizony na linię między arcyks. Fryderyka i jego żonę. Pierwszemu posłała z 450 kal. expressa kulę arcyksiężna, drugiemu z 500 kal. expressa kulę arcyksiąże. Olbrzymy te, dzięki zapewne tylko głębokiemu śniegowi i bezdymnym strzałom, nie przeszły do ataku, lecz poszły dalej swoją drogą. Po 20 krokach zaczęły się chwiać, a po 60-ciu padły nieżywe. Obie kule były celne, zmiażdżyły płuca, lecz nie naruszyły serc zwierząt.

Bizon zabity przez arcyksiężnę, 7-letni byk urodzony już w Tatrach, ważył 788 kg., a po wypatroszeniu 597 kg., drugi zaś przed 9 laty importowany byk, zabity przez arcyksięcia, ważył 732 k., a wypatroszony 568 kg. Nazajutrz zabiła młoda arcyksiężniczka Henrietta mistrzowskim strzałem na 100 kroków wspaniałego, starego, 70 kg. ważącego koziorożca. W 12.0000 morgowym, zamkniętym zwierzyńcu ks. Hohenlohego w Tatrach, znajduje się obecnie prócz kilku gatunków jeleni (wapiti altajskich, zwykłych mieszańców) giemz i muflonów, 21 bizonów i 27 koziorożców.





Sprawy Towarzystwa.

Posiedzenie Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego, odbyło się dnia 16. kwietnia b. r. o godz. 5-tej popołudniu. Obecni: Prezes hr. Stadnicki, wiceprezesi pp. Krogulski i hr. Bielski, członkowie pp.: Hr. Mycielski, Żurowski, dr. Miziewicz, Hamerski, Szczerbicki i Mniszek.

Protokół z ostatniego posiedzenia przyjęto do wiadomości bez dyskusyi, poczem wiceprezes p. Krogulski zdaje sprawę z czynności biura w czasokresie od 7. grudnia 1906 do 16. kwietnia 1907. Biuro i Wydział ex praesidio w wyżej wymienionym czasie załatwiły ogółem spraw 1390, mianowicie: referatów i korespondencyi z władzami politycznemi, delegatami i członkami 440, spraw kasowych 750, urgensów z przekazami o wkładki wysłano 200.

Na podstawie aktów Namiestnictwa, Starostw i opinii delegatów otrzymali zezwolenie na odstrzał zwierzyny w czasie ochronnym, tudzież łań i siut:

a) C. k. zarząd dóbr skarbowych w Kałuszu (rewir Kadabanie) 15 siut do 30/4 1907.

b) W Nadwórnie rewir „Potoki“ 6 łań i 2 byki do 31/8 1907.

P. Jan Götz w rewirach nadwórniańskich po 15 łań w latach 1907, 8 i 9.

P. Wł. Barański w Rozhurczu, Siemiginowie i Żulinie 10 łań do 31/12 1907.

Hr. Reyowa w Mikulińcach 30 siut w 1907.

P. Serwatowski w Rajtarowicach 10 jeleni (łań i byków) do 18/2 1907.

Obszar dworski w Winnikach 30 siut do 31/12 1907.

P. Skrzyński w dobrach żurawieńskich 10 sztuk jeleni (byków i łań) do 31/12 1907.

P. Wiktor w rewirach Załuż i Wujsko 6 sztuk jeleni (byków i łań) do 31/12 1907.

Poczem oznajmia p. wiceprezes, że c. k. Namiestnictwo, polegając na opinii właściwego delegata i gal. Tow. łow. nie uwzględniło rekursu p. Z. Włodka, który uzyskawszy zezwolenie na odstrzał w lasach tuszowskich 120 siut, po 40 sztuk rocznie, w latach 1907, 1908 i 1909 pod warunkiem, że odstrzał ma być dokonany przez fachowy personal łowiecki i wytrawnych myśliwych — żądał zezwolenia na odstrzał po 60 siut w powyższym terminie, bez ograniczenia co do ich jakości i sposobu polowania.

W okresie sprawozdawczym przybyło Towarzystwu nowych członków 34. Po przyjęciu tego sprawozdania z uznaniem do wiadomości, rozwinęła się długa dyskusya nad klęską w zwierzostanach, spowodowaną ostrą, tegoroczną zimą, Zastanawiano się mianowicie nad powodami wyginięcia masowego sarn i postanowiono na wniosek wiceprezesa, hr. Bielskiego, umieścić odezwę do ogółu myśliwskiego w „Łowcu“, aby się o rozmiarach klęski i jej głównych powodach dowiedzieć i wyciągnąć właściwe wnioski celem ochrony zwierzyny w podobnym wypadku na przyszłość.

Następuje punkt 3-ci porządku obrad: Sprawozdanie komisyi rewizyjnej. Imieniem jej pan Szczerbicki referuje zamknięcie rachunków za rok 1906, które komisya znalazła we wzorowym porządku i o pomyślnym stanie finansowym.

P. Szczerbicki czyni więc wniosek o udzielenie zarządowi Towarzystwa z tych rachunków absolutoryum, co też jednogłośnie uchwalono. Nadto na wniosek prezesa hr. Stadnickiego wyrażono p. wiceprezesowi Krogulskiemu za wzorowe prowadzenie spraw biurowych i rachunków pełne uznanie i podziękowanie. Z kolei p. wicepr. Krogulski referuje preliminarz na r. 1907, który po uchwaleniu na wniosek hr. Mycielskiego podwyżki wydatków w pozycyach redakcya i administracya „Łowca“, jednogłośnie przyjęto.

Następnie przystąpiono do dalszego punktu porządku dziennego, mianowicie do sprawy udziału naszego Towarzystwa w wielkiej międzynarodowej wystawie łowieckiej, w r. 1910 w Wiedniu. Celem rozpatrzenia się w tej sprawie, również celem poczynienia wszelkich przygotowań do odczytu, który o doniosłem tej znaczeniu wystawy — podczas naszego tegorocznego Zjazdu myśliwskiego wygłosi radca ces. p. Huber, wybrano komitet złożony z hr. Bielskiego (jako prezesa), pp. dr. Miziewicza, Żurowskiego, dr. Sołowija i Mniszka.

Następnie wiceprezes hr. Bielski zdaje sprawę z wyniku obrad komitetu wystawy wieńców jelenich i sarnich i przedkłada preliminarz przyszłych kosztów, z urządzeniem tej wystawy połączonych. Za inicyatywą p. Mniszka, porozumiał się komitet z sekretaryatem wystawy przyrodniczo-lekarskiej, mającej się odbyć tego lata we Lwowie, który oddaje Towarzystwu łowieckiemu jeden ze swoich pawilonów do dyspozycyi, tak, że główna trudność t. j. znalezienia na ten cel lokalu odpadła, i jest nadzieja, że wystawa ta zupełnie się powiedzie. Po długiej dyskusyi uchwalono udzielić subwencyi w kwocie 1000 koron na urządzenie tej wystawy, rozszerzyć ją na ogólną łowiecką i dać jej nazwę „Wystawy gal. Towarzystwa łowieckiego“.

W końcu przystąpiono do ostatniego punktu porządku dziennego, mianowicie do wniosku członków. P. Mniszek stawia wniosek, będący uchwałą gal. klubu hodowli i tresury psów myśliwskich, aby celem spopularyzowania wiadomości kinologicznych, wydział pozwolił na umieszczanie dodatku półarkuszowego raz w miesiąc w „Łowcu“ p. t. „Pies myśliwski“ na koszt gal. Towarzystwa łowieckiego tak długo, dopóki fundusze klubu nie pozwolą mu na zaprowadzenie własnego organu. Wniosek ten uchwalono z tą różnicą, że krótsze wzmianki można zamieszczać w „Łowcu“ zawsze, bez rozszerzania ram tegoż pisma, dodatek zaś taki może być umieszczany na koszt gal. Towarzystwa łowieckiego najwyżej raz na kwartał.

Na tem obrady o godz. 8-mej zakończono.



DROBNE OGŁOSZENIA I INSERATY.

Poszukuję na odstrzał w miesiącach letnich 15 do 20 silnych rogaczy w Galicyi lub na Bukowinie. Oferty przyjmuje Redakcya „Łowca“.

Leśnictwo Adamy p. Grabowa ma do sprzedania szczenięta rasy „Griffon“, pieski po 25 K., suczki po 20 K.

Zarząd lasów w Tołszczowie ma do sprzedania pointera w 3 polu, bardzo dobrze ułożonego, tak w polu jak i na błotach. Cena 100 K. Tołszczów koło Lwowa.

Zarząd dóbr Osiek dostarcza o ile zapas starczy, żywych bażantów w cenie 8 K. za sztukę. Począwszy od 6 do 25 maja dostarcza świeżych jaj bażancich po następujących cenach: przy zamówieniu 1000 sztuk po 80 hal., zaś przy zamówieniu drobiazgowem po 90 hal. za sztukę loco stacya kolejowa, Oświęcim.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**